Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 12 stycznia 1936r. Nr. 2.



UKOCHANA...

Masz usta małe, purpurowe,
upalnym żarem krwi tętniące,
słodkie, upojne i trujące,
jak wonne kwiaty jaśminowe ..

Masz oczy czyste, kryształowe,
jak górskich krynic bystre zdroje
i jako gwiazdy oczy twoje
i jako kwiaty bławatkowe...

Do mnie należysz Ty i wszystko,
co Ciebie zdobi, krasi, wieńczy,
jak siedmiobarwnej pasmo tęczy,
jak wonne, kwietne uroczysko....

I nigdy, nigdy — póki czara
żywota mego się nie skończy,
żadna nas siła nie rozłączy
i niech rozłączyć się nie stara!

M. Bińkowski.

MARJAN BRONISŁAWSKI

1)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków Amerykańskich

CZĘŚĆ I.

Wśród dziewiczych puszcz Ameryki Południowej, nad brzegiem jednego z licznych dopływów potężnej Amazonki, przepływającej pustkowia dalekiej Moutanji, stał niewielki domek, zbudowany z ciosanych bierwion, otoczony kawałkiem ogrodu i palisadą z ostrokołu. Skromna i pierwotna to była sadyba człowieka, ale na pierwszy rzut oka świadczyła, że twórcą jej musiał być człowiek biały i cywilizowany. Dom bowiem, jakkolwiek podobny do siedzib „kabokli", jak nazywają mieszkańców lasów Ameryki Południowej, był utrzymany czysto i schludnie, a spore okna z prawdziwemi szklanemi szybami wyraźnie mówiły, że właściciel domu miał zwyczaje i potrzeby człowieka kulturalnego. W kącie palisady stał szałas z liści palmowych, chroniący od deszczu i słońca kilkanaście sztuk narzędzi ogrodniczych, jak łopaty, grabie, kopaczki lub motyki, oraz przybory do rybołówstwa i łapki na zwierzęta.

Na całem obejściu znać było pewien system i zamiłowanie do porządku, czego nie bywa w domostwach tubylców, bardzo rzadko zresztą zamieszkujących tę część kraju.

Człowiek, który wybudował domek nad rzeką, nie był rolnikiem, bo pod uprawę wybrał tylko mały kawałek ziemi dokoła domu i corocznie zasadzał ten ogródek jarzynami, które obok ryb i upolowanej zwierzyny, stanowiły główną część jego pożywienia.

Był to mężczyzna w sile wieku, lat może czterdzieści kilka liczący, o poważnej, wyrazistej twarzy, szarych oczach, które łagodnie i smutno patrzały na świat, i ciemno-blond włosach, przyprószonych już gęsto szronem siwizny.

Przybył na to miejsce przed kilkunastu laty wozem, zaprzężonym w dwa silne muły i po brzegi naładowanym narzędziami, żywnością, kilkoma niezbędnemi sprzętami domowemi i paczką nasion ogrodniczych. Natychmiast po przybyciu zabrał się do budowy domu i sam jeden, bez niczyjej pomocy, ścinał drzewa, ciosał bierwiona i przygotowywał materjał do budowy. Zjawienie się tego dziwnego osadnika wypatrzyło kilku włóczęgów kabokli, którzy bocie, ale przybysz, nie mogąc rozmówić się z nimi ich językiem, na migi dał im do zrozumienia, że nie życzy sobie ich pomocy i pragnie, żeby go nie nachodzili.

W przeciągu kilku tygodni powstały ściany dwóch izdebek, pokrył je dachem, powstawiał przywiezione z sobą okna ze szkłem i wkrótce urządził się możliwie najwygodniej. Nie wiele tam było mebli w tych dwóch izdebkach. W jednej, stanowiącej kuchnię wraz z jadalnią, stał prosty stół z grubo obrobionego drzewa, przy nim ława i bardzo prymitywnie sklecone krzesło z poręczą, a w rogu był piec, zbudowany z rzecznych kamieni i zaopatrzony w blachę o kilku otworach, przywiezioną z dalekiego jakiegoś miasta. Obok pieca w rogu stały zwykłe półki, a na nich rzędami poustawiane naczynia kuchenne, jak garnki, patelnia, rondelki, kilka talerzy, szklanki i mały koszyczek z nożami, łyżkami i widelcami. Mocne, okute drzwi i okno, były zaopatrzone cieniutką metalową siatką nie dopuszczającą much i innych dokuczliwych owadów.

O ile w umeblowaniu kuchni nie było znać troski o zewnętrzny wygląd, a tylko o moc i trwałość rzeczy, o tyle widać było, że właściciel domku starał się urządzić jak najładniej drugą izdebkę, która była sypialnią i zarazem pokojem mieszkalnym. Obydwa okna sypialni były przysłonięte czystemi firaneczkami, a z zewnątrz zaopatrzone w mocne okiennice. Na środku stał okrągły stół, kunsztownie wyrobiony z jednego pnia jakiegoś egzotycznego drzewa o przepysznym słoju, przykryty wzorzystą serwetą.

W rogu izdebki znajdowało się proste, ale wygodne żelazne łóżko, pokryte kapą, podłogę zaś przed niem zaścielała skóra niedźwiedzia, własnoręcznie upolowanego w pobliskich górach przez właściciela domku. Pod ścianą między oknami stała etażerka misternie zdobiona z fantastycznie powyginanych gałęzi, zapełniona książkami.

Najozdobniejsza była ściana, przy której stało łóżko. Na zawieszonej na niej makacie wisiały dwie skrzyżowane strzelby myśliwskie i pas z ładunkami. Nad niemi widniał skromny krzyż i obrazek w okrągłych ramkach, a pod temi godłami religji, na podkładce z niebieskiego aksamitu wisiały dwie fotografje, z których jedna przedstawiała młodą i piękną kobietę w ślubnym wianku i welonie, druga zaś małe dziewczątko o rozkosznie uśmiechniętej buzi i zwichrzonych, jasnych włosach.

Dziwne życie prowadził samotny ów człowiek w pustelniczym domku. Czas swój dzielił na uprawę ogródka, polowanie, rybołówstwo i długie wędrówki po okolicznych górach, gdzie nieraz przebywał po kilka dni z rzędu. W takich razach zabierał z domu zapasy żywności, mały namiocik płócienny, mocną łopatę, sito druciane i ostry stalowy oskard do rozbijania skał. Tak zaopatrzony udawał się w coraz to nowe okolice, przeważnie nad brzegi strumieni, i tam szukał czegoś, niezmordowanie kopiąc wśród skał, przepłukując piasek strumyków i rozbijając głazy oskardem. A po takich wycieczkach wracał czasem do domu, niosąc w woreczku kilka różnobarwnych kamyków, które czyścił i mył wielokrotnie. Bywały wśród tych kamyków okazy o pięknej żółtej barwie i silnym blasku, to znów zielone, szafirowe, a czasem zdarzały się i czerwone, koloru i blasku rubinów.

Kamyków takich uzbierał przez kilkanaście lat sporo. A za każdym powrotem do domku, gdy zdobył choćby jeden nowy okaz, stawał przed fotografjami, wiszącemi nad łóżkiem, wyjmował zdobycz i trzymając kamyki na dłoni, mówił do dziecka na zdjęciu:

— To dla ciebie, Haneczko... Na posag dla córuchny mojej kochanej... Od nieszczęśliwego twego tatusia...

Słowa te wypowiadał głosem nabrzmiałym łzami. A potem długo wpatrywał się w wyblakłe fotografje, które ostrożnie zdejmował ze ściany i jak świętość do ust drżących przyciskał.

Twarzy tego dziwnego człowieka nigdy nie rozjaśnił uśmiech. Ból jakiś niezmierny nadał rysom jego wyraz kamiennej powagi i surowości, które jednak łagodziło poczciwe spojrzenie dobrych, siwych oczu.

Ludzi widywał bardzo rzadko. Najbliższa osada znajdowała się w odległości setek mil, a jedynemi ludzkiemi istotami, które czasem napotykał, byli naród dzicy kabokle. Unikał spotkania z nimi, a gdy kilkakrotnie zauważył, że starają się podkradać pod jego siedzibę, otoczył dom i ogród palisadą. Napadli go raz i drugi, ale kilka danych w powietrze strzałów, odpędziło napastników. Po nieudałych próbach najścia go niespodziewanie, kabokle pozostawili go w spokoju.

Nadszedł jednak czas, że samotność jego została przerwana. Pewnej nocy, jak dzień jasnej od księżycowego światła, gdy zabierał się już do spoczynku, posłyszał kilka strzałów, hałas jakiś i wołanie o ratunek. Zerwał się, wybiegł przed chatę i począł nasłuchiwać. Ale wszystko ucichło, tylko zdala doszedł jego uszu tętent koni czy mułów i jakby turkot jadącego wozu.

Już miał wrócić do domu i zapomnieć o niezwykłem wydarzeniu, gdy głos jakiś wewnętrzny nakazał mu zbadać przyczynę nocnego hałasu. Szybko ubrał się, zarzucił na ramię strzelbę i cichaczem wysunął się przez lukę palisady. Wolno i ostrożnie szedł w stronę, skąd, jak przypuszczał, dosłyszał strzały, i po kilkunastu minutach stanął na brzegu niewielkiej polanki. Głucha cisza panowała dokoła. A w tej ciszy rozległ się słaby, ledwie dosłyszalny jęk człowieka.

Drgnął całem ciałem i chciał zawrócić. Ale ta sama siła wewnętrzna, która kazała mu wyjść z domu, zatrzymała go na miejscu. Zdjął strzelbę z ramienia i w gotowości do strzału, krok za krokiem posunął się ku środkowi polanki. Jęk stawał się coraz bliższy, coraz wyraźniejszy.

Obejrzał się dokoła. Bystry jego wzrok dojrzał leżącą na trawie postać ludzką. Był to mężczyzna, leżący nawznak w kałuży krwi, płynącej z szerokiej rany na piersi.

Pustelnik przyklęknął przy leżącym i uniósł ręką bezwładnie zwieszoną głowę. Z piersi rannego dobył się silniejszy jęk:

— Nie zabijaj... nie zabijaj... — poruszyły się wargi rannego i umilkły.

— Biały człowiek — pomyślał osadnik. — Ciężko ranny, zginie tu bez pomocy — plątało mu się po głowie.

— Ratuj go — wołał głos wewnętrzny. — Wszak to twój bliźni, może jak ty nieszczęśliwy!

Nie namyślał się długo. Rozerwał ubranie na piersiach leżącego, obtarł krew i palcami począł badać ranę. Było to straszliwe cięcie szerokim nożem, zadane z góry w ten sposób, że tworzyło ranę kilkucalowej długości od obojczyka w dół piersi. Klatka piersiowa i płuca były widocznie naruszone, gdyż z rany wraz z krwią i czerwoną pianą dobywało się ze świstem powietrze. Jasną było rzeczą, że życie rannego wisiało na włosku.

Samotnik odjął palce od rany i wzdrygnął się. Cała ręka była pokryta lepką, ciepłą krwią. Przy blasku księżyca wyglądała jak oblepiona jakimś czarnym płynem.

— Krew... krew... — szepnął do siebie. — Znów krew widzę...

Otarł rękę i udarłszy rękaw koszuli przewiązał ranę. Ustał świst powietrza z płuc rannego, a ze spienionych warg znów wydobył się słaby jęk.

Silnemi rękami podniósł bezwładne ciało i przełożył sobie na ramię. Ciężar był znaczny, bo ranny był człowiekiem wysokiego wzrostu. Powoli i ostrożnie stąpając, osadnik ruszył w stronę domu.

Po kilkunastu minutach znalazł się na miejscu. Zlany potem, zmordowany do najwyższego stopnia, złożył rannego na łóżku i odpocząwszy chwilę, żywo zabrał się do opatrunku. Zdjąwszy z nieprzytomnego ubranie, obmył starannie ranę ciepłą wodą, nałożył na kawał płótna jakiejś maści, przykrył tem ranę i mocno zabandażował pasami płótna, na które pociął czyste prześcieradło.

Oddech rannego stał się równiejszy i wyraźniejszy.

Widno już było na dworze, gdy skończył opatrunek. Wtedy dopiero przyjrzał się człowiekowi, którego uratował. Był to mężczyzna w średnim wieku, o gładko wygolonej twarzy i szpakowatych włosach. Sądząc z ubrania, jakie miał na sobie, wyglądał na kolonistę lub białego plantatora z bardziej zaludnionych okolic kraju. Ręce miał spracowane i żylaste, co potwierdzało zawód rolnika lub robotnika leśnego.

Oprócz rany na piersiach, obcy był srodze potłuczony na całem ciele, a przez prawy policzek od skroni ku szczęce przebiegał krwawy pas, pochodzący od płytkiego cięcia nożem. Rana ta nie była groźna, ale ból wielki musiała sprawiać, bo przy jej przemywaniu ranny głośniej jęczał i choć nieprzytomny, starał się zrywać z posłania, bełkocąc niezrozumiale angielskie jakieś wyrazy.

W sercu osadnika powstało żywe pragnienie ocalenia życia temu człowiekowi. Po tylu latach samotności poczuł gwałtowną tęsknotę do towarzystwa, do rozmowy z ludzką istotą. Na krok nie odstępował od łoża chorego i jak najtroskliwsza matka dziecko, tak on pielęgnował i opatrywał tego człowieka, którego los rzucił na jego drogę. Rozpacz go brała na myśl, że nieznajomy może skonać i znów zostawić go samego. A pomocy znikąd nie mógł się spodziewać. Do najbliższego miasta, gdzie był lekarz i apteka, było tak daleko, że tygodniami całemi iść by trzeba przez puszcze, a choćby nawet tam zaszedł, czyż zna-



Na zdjęciu widzimy boisko w Kalifornji, na którem odbywają się ćwiczenia gimnastyczne lwów, w celu utrzymania zdrowia i zwinności.

lazłby się lekarz, który by porzucił swój dom i praktykę na dłuższy czas i udał się bezdrożami w nieznane okolice, aby ratować życie jakiegoś nieznanego włóczęgi?

Przytem czy mógł nawet pomyśleć o zostawieniu chorego bez opieki? Toż to śmierć byłaby pewna. Sam, sam musi go uratować.

Przemocą, przez zaciśnięte zęby wpuścił choremu do ust odrobinę wina, którego kilka butelek przywiózł z sobą przed piętnastu laty. Chory zakrztusił się, ale po kilku minutach z trudem podniósł powieki i błędnym wzrokiem spojrzał na siedzącego przy nim osadnika. Chciał coś powiedzieć, ale tylko wargami zlekka poruszył i znów zapadł w omdlenie.

Po kilku dniach dopiero, gdy ustąpiła silna gorączka, podniosły się znów powieki chorego i przytomniej już zabłysło jego spojrzenie. Osadnik z radością zorjentował się, że niebezpieczeństwo minęło. Nie wiedział kim był uratowany, z jakiego pochodził narodu. Wiedział tylko, że to człowiek nieszczęśliwy, że życie mu uratował. I tego dnia, kiedy chory spojrzał przytomniej, osadnik padł na kolana przed krzyżem i wyszeptał wpatrzony w godło Zbawiciela:

— Ty widzisz, Panie, że nie chciałem zabić tamtego... Policz mi to życie, które wróciłem konającemu za część pokuty... Spraw, Panie aby to dziecię, dla którego zostałem na ziemi, zaznało szczęścia i nie pogardzało ojcem — mordercą!

Długo trwał w żarliwej modlitwie, a gdy powstał z kolan, twarz jego jaśniejsza i weselsza się stała. Spojrzał na wiszącą nad łóżkiem fotografję i na chorego, pogrążonego w spokojnym, pokrzepiającym śnie, i po raz pierwszy od lat piętnastu poważne jego rysy rozjaśnił łagodny uśmiech.

Długie tygodnie trwała jeszcze choroba nieznajomego, zanim mógł się rozmówić ze swym zbawcą. Okazało się, że obydwaj znali język angielski i rozmowa łatwo im przychodziła, ale skoro tylko chory zaczął dziękować osadnikowi, ten ani słuchać nie chciał i ofuknął mówiącego słowami:

— Siedź, kiedy ci dobrze, i nie rozpuszczaj języka. Przyjdzie czas, to pogadamy, a dziękować wcale mi nie potrzebujesz. Teraz za słaby jeszcze jesteś na dłuższe rozmowy.

Chory pokiwał głową i spojrzał na gospodarza tak wymownie, że ten musiał odwrócić się, żeby ukryć wzruszenie. Tyle było w tem spojrzeniu niemej podzięki i wdzięczności.

Zdrowie nie powróciło jeszcze zupełnie choremu i ból w płucach srodze mu dokuczał, ale choć bardzo słaby i wycieńczony, wstawał już z łóżka i dni całe spędzał przed domkiem, na specjalnie dla niego sporządzonym leżaku, wysłanym miękkim mchem, uzbieranym w lesie przez osadnika. Z każdym dniem sił mu przybywało, a przyczyniła się do tego nietylko troskliwa opieka osadnika, ale i pożywne, zdrowe jedzenie, o jakie starał się jego wybawca.

Przyszła wreszcie chwila, kiedy ozdrowieniec nie chciał kłaść się do łóżka, ani na leżak i stanowczo oświadczył gospodarzowi, że jest zupełnie zdrów.

— Słuchaj, bracie — rzekł, patrząc w oczy osadnikowi. — Zdrów już jestem i silny. Mogę i chcę pracować. Życie moje należy do ciebie, boś ty mnie od pewnej śmierci ocalił. Pozwólże mi bodaj pracą choć w części się odwdzięczyć...

— Przestań — przerwał mu osadnik. — Raz już ci powiedziałem, że dziękować mi nie masz za co. Powiedz mi raczej skąd się wziąłeś w tych stronach i kto cię zranił.

— Nieciekawa historja. Nazywam się Piotr Winters. Przyjechałem, że Stanów Ameryki Północnej. Żonę i dziecko zostawiłem tam, i sam chciałem szukać szczęścia w Montanji. Tyle mi opowiadano o bogactwach tego kraju, o tem że każdy tu przyjeżdżający może wziąć sobie tyle ziemi ile mu się spodoba, że sprzedałem dom w Pittsburgu, kilkaset dolarów zostawiłem żonie, a z resztą przyjechałem do Limy. Tam zaś opatrzyłem się w pożądany wóz i muły, nakupiłem wszystkiego, czego może potrzebować początkujący kolonista i puściłem się w drogę. Blisko dwa miesiące jechałem w te strony, kierując się tylko kompasem. Aż jacyś bandyci napadli mnie owej nocy, a co dalej się stało, nie wiem. Znalazłeś mnie nieprzytomnego i uratowałeś.

— Zostawiłeś żonę i dziecko w Stanach.... — wtrącił w zamyśleniu osadnik.

— Tak — odparł Winters, pochylając głowę. — Zostawiłem moją Mary i jedynego synka w niepewności o losy moje. Czekają tam wiadomości odemnie, a ja...

— Czekają wiadomości... Tak. Wiadomości od męża i ojca... — mówił cicho osadnik. — I cóż cię zmusiło do opuszczenia tych, których kochasz?

— Żądza zrobienia majątku. Mówiłem ci, że opowiadano mi cudowne historje o nieograniczonych możliwościach Montanji. Sprzykrzyła mi się ciągła praca w fabrykach i chciałem wyrwać się na swobodę, w nieznany kraj, gdzieś daleko od turkotu maszyn i dymiących kominów fabrycznych. Myślałem, że znajdę tu kawał ziemi, założę plantację i Mary z synem wkrótce sprowadzę do siebie. Tymczasem inaczej się stało.

— I mógłbyś powrócić do swoich? Mógłbyś znów żyć między ludźmi i pracować jak inni pracują?

Winters zdziwił się tem pytaniem.

— Nie rozumiem o co pytasz. Przecież każdy może jechać gdzie mu się podoba i wracać albo nie wracać, zależnie od swej woli.

— Mylisz się bracie. I ja jestem ze Stanów, a wracać tam mi nie wolno.

— Nie wolno? Dlaczego? — spytał coraz bardziej zdziwiony Winters.

— I ja mam tam dziecko... mam Haneczkę moją, ciotkę jedyną, ale nie wiem czy ją kiedy ujrzę czy przytulę jej jasną główkę do piersi — mówił wybawca Wintersa przerywanym i zdławionym głosem.

Nagle zerwał się z kłody, na której siedział i chwyciwszy Wintersa za ramię, pochylił się nad nim i rzucił twardo:

— Czy wiesz w czyim domu się znajdujesz? Czy wiesz kto z tobą mówi?

— Wiem — odpowiedział zapytany, wyciągając rękę do osadnika. — Jestem w domu człowieka szlachetnego, który życie mi ocalił, który zachował mnie dla tych, co tam daleko ,w Pittsburgu oczekują wieści od męża i ojca!



Scena jednego z najnowszych filmów amerykańskich, przedstawiająca chwytanie pięciometrowego krokodyla przy pomocy siatek.

Osadnik puścił ramię Wintersa, zbliżył twarz do jego twarzy i przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

— Jesteś w domu mordercy! Słyszysz? Mordercy... Człowieka przeklętego, na którego czeka w Stanach szubienica albo krzesło elektryczne! Dlatego nie wolno mi wracać do dziecka mego...

Opadł ciężko na kłodę i wsparł głowę na rękach. Piersią jego wstrząsało siłą woli tłumione łkanie.

Winters milczał, wpatrując się w pochyloną postać osadnika.

Cisza była dokoła przerywana tylko poważnym szumem puszczy.

Po chwili ozwał się łagodny, wzruszony głos Wintersa:

— Ty bracie, byłbyś mordercą? To nieprawda! Ty, któryś jak siostra miłosierdzia ratował od śmierci nieznanego włóczęgę, byłbyś zdolny życie komuś odebrać! To nieprawda, bracie! To jakaś straszna pomyłka...

Osadnik podniósł głowę i spojrzał na mówiącego. Ciężkie, grube łzy spływały po jego twarzy, okamieniałej w wyrazie cierpienia i bólu.

— Dzięki ci, Piotrze, za te słowe pociechy. Wynagrodziłeś niemi stokrotnie za wszystko, co dla ciebie uczyniłem. Ale słów swych nie cofam... zamordowałem człowieka i uciekając przed karzącą ręką sprawiedliwości, w te pustkowia się schroniłem. Lepiej mi teraz, gdy wyznałem ci kim jestem. A jeżeli, zanim odejdziesz, zechcesz, posłuchać historji mego życia, powiem ci wszystko.

Winters silnie ścisnął jego rękę i siadł obok, mówiąc:

— Zanim odejdę... I ty sądzisz, że mógłbym odejść i ciebie tu samego zostawić? Nie, bracie. Jeżeli stąd pójdę, to tylko z tobą razem.

— A żona twoja i dziecko? Ty do nich musisz wrócić. Czekają na ciebie! Mnie zostaw mojemu losowi. A teraz posłuchaj jak się stało, że zabiłem człowieka.

Zamilkł na chwilę, jakby zbierał wspomnienia.

— Było to lat temu przeszło piętnaście — zaczął mówić. Młody byłem i szczęśliwy .Tam nad łóżkiem wisi fotografja mojej żony, którą straciłem po pięciu latach najszczęśliwszego w świecie małżeństwa. Przeziębiła się i zapadła na zapalenie płuc. Po kilku dniach zmarła na moich rękach. Szalałem z rozpaczy... Poszła tam skąd nikt nie wraca. Chciałem iść za nią, bo nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Tylko myśl o jedynej naszej córeczce wstrzymała mnie od samobójczej śmierci...

Znów zamilkł i pogrążył się w bolesnych wspomnieniach.

Po chwili mówił dalej:

— Nie wolno mi było umrzeć. Żyć musiałem dla dziecka, które mnie jednego tylko miało na świecie. Trzy lata miała córka nasza w chwili śmierci matki. Dziś ma lat osiemnaście i wstydzić się musi nazwiska swego ojca... Po śmierci żony miesiące całe byłem jak ogłuszony ciosem, który mnie spotkał. Przestałem pracować i zamknąwszy się w domu dni spędzałem na rozpamiętywaniu swego nieszczęścia. Haneczka moja mówić już zaczynała... Biedne dziecko! Wkrótce zapomniała o matce i całą mocą swego dziecinnego serduszka przygarnęła się do mnie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT

3)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

Streszczenie dotychczasowych rozdziałów:

Król cyganów, koczujących w Polsce, oddał swą jedynaczkę Zorynę na pensję do klasztoru we Lwowie. Tutaj młoda, bo zaledwie 12 lat licząca cyganka rozpoczęła się uczyć, wykazując duże zdolności w muzyce. Po czterech latach, na zakończenie roku szkolnego odbyły się popisy, gdzie specjalnie wyróżniono Zorynę. Niestety, dalszą naukę przerwała, zgodnie z życzeniami ojca i powróciła do obozu. Jednakże pobyt w domu kulturalnym zrobił swoje. Zoryna nie może się przyzwyczaić do życia obozowego i tęskni do przeżytych pięknych dni na pensji, zwłaszcza do koleżanek. Jednej jednakże nie znosiła, Soleckiej, która jej na każdym kroku dokuczała. W obozie cygańskim życie płonęło jednostajnie, w trosce o chleb codzienny. Pewnego dnia, kiedy cyganie obozowali w lesie barona, Zoryna, zatopiona w myślach, zbudzona została przez nadjeżdżającego jeźdźca, którym okazał się właściciel lasu baron Erwig. Krótki flirt, gorące słowa miłosne i zapewnienie barona o swej miłości sprowadziły Zorynę do pałacu barona, gdzie została jego utrzymanką. Ucieczkę z obozu pięknej cyganki zauważyła Mira, starająca się o serce króla. Natychmiast pobiegła do lasu i poczęła szukać Zorynę, lecz znalazła jedynie porzuconą przez nią gitarę. Zbiegli się cyganie i wkrótce nadszedł król. Na wieść o ucieczce córki, przeklął ją nie dając się ubłagać przez członków obozu. Zoryna rozpoczęła nowe życie w zamku, pojechała do Lwowa, była w operze, gdzie zapoznała kolegę barona Czachowicza, zaś baron Erwig Izę Solecką, która staje się od tej pory groźną rywalką Zoryny. Nie pomagają sceny zazdrości, baron zaczyna mówić o Izie, jako o przyszłej swej żonie

Po powrocie ze Lwowa do zamku baron i Zoryna wybrawszy się pewnego razu konno na przechadzkę, napotkali starą cygankę Kirę.

Widok jej brzydoty podziałał odrażająco na barona i jeszcze więcej ochłodził jego stosunek do Zoryny, w niej zaś samej obudził tęsknotę za ojcem i za bujnem życiem cygańskiem.

W kilka dni później nadszedł telegram od Soleckich, że przyjeżdżają wraz z córką do zamku. Duma Zoryny ucierpiała na tem bardzo. Kochając barona, musiała być świadkiem jego sam na sam z piękną hrabianką. Wreszcie los Zoryny zostaje przesądzony. Baron zaczyna po wyjeździe Soleckich myśleć na serjo o małżeństwie z Izą i postanawia się pozbyć swej kochanki. W tym celu sprowadza na zamek barona Czechowicza i odstępuje mu Zorynę. Ta jednak buntuje się. Podpala w nocy zamek i ucieka do obozu cyganów.

Tutai zastaje dużo zmiany. Ojciec jej wyrzekł się wyrodnej córki i ożenił się z cyganką Mirą, która wydała na świat syna, przyszłego następcę cygańskiego tronu. Idzie więc Zoryna w szeroki świat, gdyż w obozie nie ma już co robić. Za nią podąża wierna Kira. Zatrzymują się w małej wiosce podkarpackiej, gdzie Zoryna wydaje na świat córeczkę. Kira wyznacza jej imię Mścisławy, gdyż kiedyś ma ona pomścić krzywdę swej matki.

Po kilku latach wędruje Zoryna z 12-letnią córką i Kirą z zapadłej wioski do Lwowa. Tutaj występuje jako tancerka, a Mścisławę oddaje na pensję. Dziewczynka uczy się bardzo dobrze. W miarę jak dorasta, rodzi się w niej gorąca chęć zemsty, zaś stara Kira uczy ją różnych sztuk magicznych i hipnozy.

Na pensji bardzo serdeczną koleżanką Mścisławy jest Beata Borowska, córka magnacka.

Od niej to Zoryna dowiedziała się, że ojciec jej umarł. Starszyzna zebrawszy się w Koszycach, wybrała królem starego Hudynę z Sewilli. Nowy król ożenił się z Mirą. Rzadko już kiedy zatrzymują się obozem pod Worochtą.

Opowiadając to Kira, rozwinęła chustkę czerwoną i wysupłała z niej sznur pereł, wielkich, jak laskowe orzechy o odcieniu różowawym, oraz pierścień z olbrzymim szmaragdem.

— Wymogłam pod grozą przekleństwa na królu zwrot tych klejnotów, które matka wniosła w wianie twemu ojcu.

Zoryna klejnoty schowała głęboko w szparę pod łóżkiem. Odda je córce wtedy, gdy pójdzie w świat nieść zagładę krzywdzicielom.

Teraz była już pewną, że Mścisława wypełni swe posłannictwo.

* * *

Mścisława z wiekiem stawała się przebiegłą i wyrachowaną. Konsekwentnie dążyła do celu, jaki jej matka i Kira wytknęły.

Przyjaźń jej dla Beaty, z początku bezinteresowna i instynktowna, stała się z czasem narzędziem, które mogło posłużyć jej dla dopięcia jej celów.

Wiedziała, że Beata jako córka magnata, jedynaczka, ukochanie rodziców i otoczenia, pomóc jej może przy urzeczywistnieniu jej marzeń — dostania się do sfery, do której należał baron Erwin.

I gdy Beata całem sercem, szczerze garnęła się do niej, Mścisława każdy objaw swej serdeczności uważała za środek prowadzący ją do celu.

Starała się uzyskiwać zaproszenia na święta lub wakacje do pałacu hrabiów Borowskich. Błądziła tam nocami po wspaniałych komnatach i snuła plany zemsty.

Hrabiostwo Borowscy niezbyt przychylnie patrzyli na tę przyjaźń swej jedynaczki z dziewczyną nieznanego pochodzenia. Jednakże do tego stopnia kochali swą jedynaczkę, iż odmówić jej niczego nie byli w stanie. Czekali więc tylko końca nauk córki, by przerwać tę znajomość. A chwila ta zbliżała się szybko. Nadszedł okres egzaminów.

Mścisława będąca nadzwyczaj zdolną uczennicą nie bała się ich wyników, ale Beata uczyła się dniami i nocami, lękając się niezmiernie srogich egzaminatorów.

W okresie przedegzaminacyjnym regulamin klasztorny przestał obowiązywać dorosłe dziewczęta.

Wolno im było przesiadywać po nocach, a nawet odwiedzać się wzajemnie.

Mścisława i jej przyjaciółka siedziały pewnego wieczoru dość długo w pokoiku Beaty rozwiązując zadania geometryczne.

Było już po północy, gdy Mścisława wstała, by odejść do siebie. Przez okno wpadło światło księżyca i zapach bzu. Zapragnęła naraz przejść do parku. Projekt ten spodobał się i Beacie.

W szlafrokach i nocnych pantoflach zbiegły do parku.

Biegały po alejach, zrywały kwiaty, śmiały się wesoło. Wreszcie wróciły do gmachu klasztornego. Już były na schodach, gdy nagle z kancelarji wyszła przełożona ze świecą w ręku i szła naprzeciw nich.

Beata zadrżała ze strachu. Przemknęło jej się przez myśl, że mogą ją wydalić z klasztoru przed egzaminami. Zamknęła oczy ze strachu.

Mścisława wyprostowała się. Błyszczącemi oczyma wpiła się w zbliżającą postać. Przełożona szła wprost na nie. Przystanęła tuż obok dwojga dziewcząt, lecz jakby jakimś tajemniczym nakazem wiedziona odwróciła się i zeszła szybko po schodach na dół.

Mścisława blada, oblana potem, przyciągnęła do siebie słaniającą się Beatę. Pobiegły do siebie.

Przy drzwiach Mścisława szepnęła uspakajająco.

— Nie bój się nic, nie widziała nas.

I rzeczywiście nie widziała ich. Stojąc koło nich czuła obecność istot żywych obok siebie, ale nie mogła ich dojrzeć ani zdobyć się na tyle silnej woli, by dotknięciem się przekonać kto stał obok niej.

Mścisława rozbierając się, z dumą rzekła do siebie:

— Jestem gotową do czynu.

Mścisława zdała egzamin z odznaczeniem. Pojechała następnie wraz z Beatą na parę tygodni na wieś do hrabiów Borowskich. Wstrząśnienie nerwowe, jakiego doznała Beata podczas tej nocnej wycieczki oraz egzaminy wyczerpały jej siły. Dziewczęta więc spędzały czas na spacerach, na leżeniu na słońcu, na wycieczkach powozem do lasu.

Mścisława obmyślała plan zemsty. Od Beaty dowiedziała się, że baronowie Erwinowie mieli troje dzieci, z których dwoje im umarło. Pozostał im tylko chłopczyk, Stefanek, dziś liczący osiem lat. Było to dziecko nadzwyczaj nerwowe, ale zdrowe. Baronowstwo mieszkali stale we Lwowie lub w posiadłości baronowej pod Sokalem. Na pytanie Mścisławy dlaczego nie mieszkali w zamku barona, Beata wyjaśniła, iż zamek ten spaliła ,pewna cyganka, która sama poniosła śmierć w płomieniach. Zamek odbudowano, ale ani baron ani baronowa nie lubią tam przebywać.

Mścisława postanowiła za jakąkolwiek cenę dostać się do domu baronostwa. Codziennie wieczorem wpatrywała się z natężeniem w jeden punkt swego pokoju i powtarzała z mocą.

— Masz odejść, gdyż ja chcę miejsce twe zająć.

W parę dni potem hrabina Borowska czytała przy śniadaniu w obecności obu panienek list baronowej Izy.

— Hermino, mam nowy wielki kłopot, wprost zmartwienie, Róża, bona Stefanka, taka miła dziewczyna prosiła mnie z płaczem, bym ją zwolniła ze służby. Dostała nagłego nerwowego rozstroju. Sypiać nie może po nocach. Jak tylko uśnie zjawia się przed nią widmo, które woła za nią — masz odejść stąd. Musiałam ją zwolnić i zwracam się do ciebie z zapytaniem, czy nie miałabyś kogo dla mnie, jakiej młodej, skromnej panienki, któraby nie tylko pilnowała, ale i brała udział w zabawach Stefanka...

Gdy hrabina skończyła czytanie listu, Mścisława podniosła na nią swe oczy przepastne i rzekła:

— Niech pani hrabina mnie tam poleci.

Hrabina zamyśliła się. Nie znała tej młodej dziewczyny, ale jej pięcioletnia przyjaźń z Beatą dawała pewną rękojmię. iż nie zawiedzie zaufania.

Zgodziła się polecić Mścisławę i nazajutrz dziewczyna żegnana serdecznie przez Beatę odjechała do domu baronostwa.

ROZDZIAŁ VI.

Dzień zemsty się zbliża

Zapadał już wieczór, gdy Mścisława w powoziku, przysłanym przez baronową Izę na kolej, podjeżdżała pod pałac w Borku. Była spokojna i zdecydowana. Triumfowała, ufna w siłę i potęgę swej mocy wewnętrznej. Jechała jako mścicielka krzywd swej matki, a swego ubóstwa i poniżenia.

Na ganku przyjął ją stary lokaj i poprowadził wprost na górę, gdzie w dziecinnym pokoju czekała na nią baronowa ze Stefankiem.

Chłopiec wątły o prześlicznej twarzyczce patrzył na przybyłą nieufnie, tuląc się do matki.

Baronowa przywitała ją uprzejmie pytając, jak odbyła drogę i o nowiny od hrabiów Borowskich.

— Pani jest przyjaciółką Beaty, mej chrześnicy, a to dla mnie jest najlepszą rekomendacją i mam nadzieję, że będzie pani u nas dobrze.

Nadszedł baron. Widok jego napełnił duszę Mścisławy goryczą.

Gdy patrzyła na nich uśmiechających się do siebie i do syna, zadowolonych ze siebie, gdy matka jej dogorywała w nędzy i poniewierce, budziło się w niej jeszcze silniejsze, jeszcze goręcsze pragnienie zemsty, zemsty bezlitosnej.

Pragnęła ujrzeć ich oboje wijących się w bólu i w rozpaczy i cieszyła się wrażeniem, gdy będzie mogła temu dorodnemu mężczyźnie rzucić triumfująco „to za Zorynę!"

Ale oni patrząc na jej spokojną, bladą twarz i oczy jakby zgasłe bez wyrazu, nie przeczuwali losu, jaki im gotowała.

Wydała im się raczej brzydką niż ładną.

Baron jednakże czuł, że dziewczynę tę gdzieś już widział. Budziło to w nim niepokój, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy przesunęła się mu przed oczyma postać dziewczyny.

Mścisława, jadąc do Borku, nie miała jeszcze szczegółowo ułożonego planu działania, dopiero tu na miejscu zrodził się w jej napół obłąkanym z nienawiści umyśle szatański plan dosięgnięcia zemstą jednocześnie barona i jego żony.

W kilka dni po przyjeździe do Borku otrzymała od Kiry telegram z wiadomością, że matka nie żyje.

Baronostwo przejęli się bardzo wiadomością. Pełni współczucia odesłali natychmiast Mścisławę do Lwowa na pogrzeb matki.

Mścisława, czekając na dworcu na nadejście pociągu, kupiła gazetę lwowską. Poczęła ją czytać dopiero w wagonie.

Na pierwszej zaraz stronie uderzył ją tłustemi czcionkami wydrukowany tytuł: „Zabójstwo w spelunce podmiejskiej". Rzuciła okiem. Serce jej przeszył gwałtowny ból.

Był to opis śmierci jej matki.

Została ona zabita przez pijanego szofera, który rzucił na nią butelką piwa i trafiając w skroń zabił na miejscu.

W Lwowie w nędznej izdebce, która po pałacu Borowskich i Erwinów wydała się jej tem nędzniejszą, zastała Kirę przygarbioną, przygnieconą nieszczęściem.

Kira oddała jej medaljon z fotografją barona i hrabiego Czechowicza. Zwróciła jej również perły i pierścień i kazała jej przysiąc, trzymając zwyczajem cygańskim dwa palce na piersi, iż wypełni życzenie swej matki i pomści jej krzywdy.

Pogrzeb odbył się z kostnicy na koszt gminy. Drewniana, niemalowana trumna, jeden ledwo wlokący się koń i ich dwie, oto cały orszak pogrzebowy.

Dwóch grabarzy zdjęło trumnę i zaniosło do mogiły otwartej. Pośpiesznie zasypali ją ziemią.

Mścisława, stojąc nad grobem myślała ze smutkiem, że gdyby chowano ją wśród swoich, leżałaby teraz pośród zieleni jej lasów i szumiałyby jej drzewa, śpiewałyby ptaki przy wtórze wichrów, jej — wolnej królewnie!

I złość i nienawiść przeciwko sprawcy tej niedoli, raz po raz wstrząsały dziewczyną.

Tak, pomści się za zmarnowane życie, za poniewierkę i śmierć tak okropną, poniżającą!

Powróciła do Borku, zdecydowana na wszystko. Zabrała się do swego dzieła szatańskiego.

Zaczęła go od czułej opieki nad dzieckiem. Nie opuszczała je prawie na chwilę, nie spuszczała je z oczu.

Mimo to dziecko zaczęło mizernieć, straciło apetyt, źle spało w nocy, budziło się często z płaczem.

Zaniepokojeni rodzice wezwali doktora. Przyjechał drugi, trzeci doktór, ale żaden z nich niczego nie mógł poradzić. Kręcili głową, ruszali ramionami, rozkładając ręce bezradnie.

Organizm w porządku, tylko ogromne wyczerpanie i wielkie podrażnienie nerwów. Jedyne lekarstwo — jechać z nim w góry.

Po długich dopiero wahaniach rodzice zdecydowali się go zawieźć do odbudowanego po pożarze zamku barona w Karpatach.

Nie lubili oboje tego zamku i było to z ich strony prawdziwem poświęceniem jechać tam. Uczynili to dla dobra dziecka.

Wybrali mu najpiękniejsze pokoje. Urządzili mu wspaniałą sypialnię, gdzie Stefanek sypiał z niańką. Pokój ten oddzielony był korytarzem od pokoju rodziców.

Ale już pierwszej nocy przekonali się, że poświęcenie ich było daremne.

W nocy baronowa nagle usłyszała żałosny płacz dziecka. Zerwała się i szybko pobiegła do pokoju syna. Niańka spała twardo, nie słysząc płaczu dziecka, które wciśnięte w róg łóżeczka, drżące,

blade, wpatrzone w jeden punkt, jęczało żałośnie.
Dopadła dziecka i chwyciła go w swe objęcia, sama drżąca, przerażona, dygocząca.
Stefanek przytulił się do matki, wskazywał róg pokoju.
— Mamusiu, tam takie straszne oczy na mnie patrzą — skarżył się.
Baronowa obejrzała się za siebie z lękiem, ale niczego nie dostrzegła.
Wzięła dziecko na ręce i zaniosła do siebie.
Przy boku matki dziecko usnęło.
Zmiana otoczenia i powietrza nie tylko nie wpłynęła na poprawę zdrowia dziecka, ale jeszcze pogorszyła je. Zaniepokojeni rodzice wezwali znowu lekarzy.
Zjechały się sławy świata. Naradzali się długo. Wreszcie uradzili, by dziecko wywieźć nad morze. Wzięli sute honorarjum i odjechali do siebie.
Baronowa, zdenerwowana, pełna trwożnych przeczuć, gorączkowo wybierała się z dzieckiem i Mścisławą nad morze. Baron miał przyjechać później. Mścisława pomagała gorliwie w przygotowaniach, chociaż była pewna, że nie wyjadą.
Zmęczona baronowa dnia tego poszła późno spać i zasnęła natychmiast, nie przeczuwając nieszczęścia, które czyhało na nią. Noc była pogodna, księżycowa. Blask księżyca padał jasną smugą przez otwarte okno, sięgając aż do łóżeczka dziecka, które spało spokojnie. Nagle poruszyło się gwałtownie, wstało i zeszło z łóżeczka, szło szlakiem księżycowym do otwartego okna. Wspięło się na niem i wychyliło nazewnątrz.
Cicho skradając się, wchodzi do pokoju Mścisława. Oczy jej błyszczą, usta krzywią się w iście szatańskim uśmiechu. Wpija się wzrokiem w szczupłą, wątłą figurkę dziecka, czyni rękoma ruch, jakby je chciała zepchnąć z okna.
Dziecko, rozkrzyżowawszy rączki, wypada z okna na asfaltowy dziedziniec.
Mścisława, uśmiechając się niesamowicie, wraca do swego pokoju krokiem lekkim, cichym. Serce jej drży z radości na myśl o cierpieniu, jakie sprawiła rodzicom Stefanka. Widzi ich twarze z bólu skórczone, ich łzy i jęki. Rozkoszuje się niemi.
A pod oknem leżą skrwawione zwłoki chłopca. Padając, nie krzyknął nawet, nie obudził się. Łoskot spadającego ciała zwabił psy, strzegące domu. Dopadły dziecka i zawyły żałośnie. Na odgłos ich wycia biegnie z głębi parku stróż nocny, odpędza psy, patrzy na ciało dziecka z przerażeniem. Żegna się raz po raz, biegnie do dzwonka, dzwoni na alarm.
W dziecinnym pokoju niańka, prosta wieśniaczka, śpi smacznie. Hałas pod oknem dopiero obudził ją. Otwiera oczy, podnosi głowę, nadsłuchuje i wstaje z łóżka. Wzrok jej pada na puste łóżeczko. Strach opanowuje ją całą, biegnie do okna, spogląda w dół i ujrzawszy ciemną plamę, wydaje okrzyk przerażenia. Wypada na korytarz i zaczyna gwałtownie dobijać się do drzwi baronowej. Baronowa wstaje i otwiera jej drzwi. Niańka rzuca się do nóg, wołając:
— Stefanek zabity!!!!
Baronowa odsuwa ją i biegnie do dziecinnego pokoju. Tymczasem złowroga wieść rozeszła się już po zamku. Służba przerażona wyległa na dziedziniec, otaczając zwłoki dziecka, ale nikt nie śmie ich dotknąć. Baronowa z krzykiem rozpaczy biegnie na dół. Przy zwłokach Stefanka stoi już baron, blady, z ustami boleśnie zaciętemi, lokaje przygotowują nosze z prześcieradeł. Nieszczęśliwa matka rozrąca ich, nachyla się nad ciałem dziecka, podnosi je, tuli pieszczotliwie do piersi i zataczając się, idzie w stronę domu. Mąż otacza ją ramieniem.
Idą w żałobnym pochodzie.
Służba z czcią i głębokiem współczuciem rozstępuje się przed nimi. Mścisława, schodząc wolno na dół, widzi ten pochód i serce jej drży na widok nieszczęścia i bólu, ale nie współczuciem lub wyrzutami sumienia, lecz radością dziką.

— — — — — — —

Pogrzeb dziecka odbył się cicho, w gronie najbliższych. Baronowa mdlała ciągle i przemocą musiano ją odrywać od trumienki. Nieprzytomną odwiózł ją mąż do pałacu i położył do łóżka. Ale gdy przyszła do siebie, zerwała się i poszła do pokoju dziecka i tu, klęcząc przy pustem łóżeczku, tuliła głowę do poduszki. Tu znalazł ją baron i przyklęknąwszy tulił ją do siebie, pocieszał jak mógł.
Wtem odczuł jakby zawrót głowy i jakaś siła nieprzeparta pociągnęła go do gabinetu. Próbuje przemóc się, lecz nie może. To „coś“ jest silniejsze od jego woli. Wstaje, dzwoni na służącą i ucałowawszy żonę schodzi na dół obiecując, że zaraz wróci. Na odgłos dzwonka, służąca Marta, porzuca swą robotę i śpieszy na dół. Jednocześnie z nią schodzi Mścisława w szlafroku, z włosami rozpuszczonemi.
Marta nie znosiła Mścisławy, więc i teraz spojrzała na nią z ukosa, a ujrzawszy jej strój niedbały, zdziwiła się wielce i zapytała zgorszona:
— Gdzie to pani idzie tak rozebrana?
Mścisława patrzy na nią wyzywająco i uśmiecha się szyderczo.
— Idę do barona, który na mnie czeka.
Marta drży z oburzenia, wchodzi do pokoju, w którym baronowa z rozpaczą tuli się do łóżeczka, rzuca się do niej z płaczem i wśród łkań oskarża barona, że woła do siebie Mścisławę, zamiast być tutaj, przy pani baronowej. A w mniemaniu Marty, Mścisława miała być przyczyną całego nieszczęścia. Baronową patrzy na Martę nieprzytomnie. Służąca całuje ją po rękach i oblewając łzami, prosi żałośnie:
— Wypędź ją stąd, wypędź, bo w niej siła nieczysta siedzi. Przecież pan baron by jej nie wołał do siebie, gdyby nie rzuciła na niego uroku.
Błysk świadomości przedarł się do zmęczonego umysłu baronowej. Oburzyła się jednak na podobne oskarżenie.
— Marto, jak śmiesz!
Ale Marta obstaje przy swojem.
— Na własne oczy widziałam, jak poszła do gabinetu, niedbale ubrana, z włosami rozpuszczonemi.
Baronowa stara się zebrać myśli, wreszcie ruchem stanowczym wstaje i schodzi wolno na dół, kierując się do pokoju męża. Kochała go bardzo. Obdarzała go swojem zaufaniem, poza nim i dzieckiem nie istniał dla niej świat. Oskarżenie służącej zabolało ją mocno. Chciała przekonać się naocznie, iż służąca kłamała. Chciała przekonać się, że zdrada męża parę dni po śmierci dziecka, jest nieprawdopodobieństwem, szła, aby się przekonać.

ROZDZIAŁ VII.

Szatański plan urzeczywistniony

Baron po przyjściu do gabinetu usiadł na fotelu. Nie wiedział, co się z nim dzieje, dlaczego tu przyszedł, choć nikt na niego nie czekał. Ukrył w dłoniach twarz i zastygł w bezruchu. Wtem, we drzwiach stanęła Mścisława. Płonący jej wzrok wpił się w barona, którego twarz robi się jakby martwa, a oczy stają się szkliste. Podnosi się z miejsca z wysiłkiem. Mścisława wchodzi do pokoju, nie spuszczając z oczu barona. Baron robi kilka kroków naprzód, pyta wolno, jakby mu to sprawiało trudność:
— Pani ma do mnie jakiś interes?
Dziewczyna uśmiecha się lekko i odpowiada cicho:
— Przyszłam oznajmić panu, że jutro opuszczam zamek.
Baron wyciąga do niej rękę:
— Zostań pani z nami jeszcze czas jakiś.
Mścisława bierze jego rękę, ściska ją i patrzy mu w oczy nakazująco. Baron zaczyna się chwiać i klęka przed nią. Mścisława nadsłuchuje. Z korytarza dobiega ją odgłos kroków. Nachyla się jeszcze niżej nad baronem, z tem samem nakazującem spojrzeniem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

CHĘTNIE

„Samotny Rom.“ Pisze Pan, że nie jest poetą, a jednak zdaje mi się, że trochę nim Pan jest. Szczególnie sądząc z nastrojowych bardzo ładnych opisów przyrody w liście. Pozatem załączony wierszyk również bardzo miły. Nie mógł go napisać człowiek nie mający nic wspólnego z natchnieniem poetyckiem, tak ja sądzę.

Chętnie zamieszczę słowa, które życzy sobie Pan, aby zostały wydrukowane i proszę bardzo o dalszą pamięć.

„Uwaga „Księżniczko Dari“! „Biała Uajali“ zainteresowała się bardzo Panią i prosi Panią za mojem pośrednictwem o skreślenie do Niej kilka słów. Czy zgodzi się Pani?

Równocześnie śle pozdrowienia: „Białej Uajali“ — „Jeźdźce z Kujaw“ — „Kalinie“, p. M. Wawrzyńczakównie, „Złotemu Promykowi“ i „Stelli Maris“.

PRYSŁY MARZENIA...

„Białej Uajali“ poświęcam

Prysły marzenia i sny młodości,
Od młodych lat przez Ciebie pieszczone,
Bo śmierć okrutna Ci ojca wzięła,
Ogień Twą chatkę obrócił w perzynę.

Jako rozbitek na losu fali,
Odeszłaś w obce nieznane strony,
Rzuciłaś z żalem, wioskę rodzinną,
Rodzinne lasy, łąki, zagony.

Choć los okrutny piętrzy swe fale,
By Cię w rozpaczy zanurzyć otchłani,
Nie opuszczaj steru: (Ufaj w Boga)
A wkrótce dotrzesz do szczęścia przystani.

„Samotny Rom“.

ADRESÓW NIE UDZIELAMY

„Więdnący Kwiatek“. Takich wierszyków, jak Pani, nie można w żadnym wypadku wydrukować. Wierszyk Pani, określając ściślej, jest raczej rymowaną prozą, niż poetyczny utworem. Chcąc go podnieść do nazwy dobrego wiersza, musiałaby Pani mu nadać pewien rytm i więcej oryginalniejszych myśli.

Bardzo wzruszyła mnie smutna historja w liście, w której zamknęła Pani tragiczne losy swoich trzech kolegów z lat dziecinnych. Ciekawa jestem czy jeszcze kiedykolwiek w życiu spotka Pani kolegę, który pozostał przy życiu... A może? Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze.

Na zakończenie przyjmuję Panią do „Krainy“ i przedstawiam Ją Sympatykom: młoda blondynka, jak mówią ładna, o niebieskich bardzo pięknych oczach.

Równocześnie radzę Pani napisać do „Giaura“ osobiście, gdyż adresów naszych Sympatyków, jak Pani wiadomo, nie udzielamy.

Łączę bardzo dużo serdecznych pozdrowień.

WIERSZE SŁABE

„Sztubak“. Pomimo najszczerszych chęci, nie mogę podzielić zdania Pańskiej Znajomej. Ani jednego z nadesłanych wierszyków nie mogłabym nazwać pięknym. Wszystkie są bardzo, bardzo słabe. Proszę, niech Pan porówna swoje utworki, choćby z wierszykiem Henryka Zbierzchowskiego, Tuwima, Staffa, Jasnorzewskiej — Pawlikowskiej itd., a zobaczy, jaka cechuje je harmonja i czystość myśli, jakie podejście do tematu i doskonały rytm, których to atrybutów, zupełnie brak w Pańskich wierszach.

Dziękuję Panu serdecznie za życzenia świąteczne i przesyłam odwrotną pocztą pozdrowienia.

„VERTE“ BYŁA NAD RENEM I DZISIAJ DZIELI SIĘ Z NAMI WRAŻENIAMI

„Verte“ nadesłała mi niezwykle sympatyczny liścik, a w nim skreśliła swe wrażenia z podróży po okolicach Renu. Ponieważ opis jest ciekawy i bardzo miły, podaję go w skrócie do druku. Oto on:

„Nasamprzód muszę zaznaczyć, że przyjechawszy w osławione okolice Renu, doznałam rozczarowania. Tyle nasłuchałam się o tamtejszych, ślicznych winnicach, więc przedstawiałam sobie owe winnice niezwykle malowniczo, a tymczasem, patrząc przez okno od wagonu, nie mogłam ich jakoś zobaczyć. Widziałam tylko góry, na których rosło coś w rodzaju fasoli. Moi współtowarzysze podróży zwrócili mi uwagę, że owe góry, obsadzone czemś à la fasola, to właśnie winnice. Ogarnęło mnie takie rozczarowanie, że wszyscy podróżnicy zaczęli się śmiać

Nie mniej zawodu sprawiło mi początkowo także samo wino, którem mnie poczęstowano. W domu byłam przyzwyczajona do picia win słodkich, natomiast tamtejsze wina są naturalne i niecukrzone, kwaśiłam więc się na początku okropnie, a nawet przyrzekałam sobie już więcej ich nie pić. Jednakże zczasem przyzwyczaiłam się do nich tak, że innych pić nie chciałam.

Zapewnie czytała Pani o runięciu góry nad Mosełą w Cochem, która zasypała prawie całą Mosełę? Czy uwierzy Pani, że ja byłam, kto wie czy nie pierwszą z osób, które zauważyły początek pęknięcia tej góry?

Bardzo malowniczo wyglądają nadreńskie domki. Patrząc na nie zdaleka, ma się wrażenie, że to zbiór pięknych gracików, gdyż są takie żywe i ładne i jakgdyby porozrzucane pomiędzy górami. Tamtejsze ulice są nieraz w formie schodów, a to zpowodu wzniesień. Ulice te stanowią bardzo ładny widok.

Prawie w każdej miejscowości nad Renem znajduje się jeden lub kilka starożytnych zamków, względnie ruin. (Ludność miejscowa opowiada sobie, że w tych zamkach straszą i pokutują duchy!!!) Krążą także w połączeniu z owemi zamkami przeróżne legendy. I tak np. opowiadają, że niedaleka Bingen nad Renem, stojące obok siebie dwa zamki, są kotem i myszą. (Katze und Maus), a to dlatego, że dawniejsi ich właściciele żyli pomiędzy sobą w niezgodzie ot, to jak kot i mysz.

Wspomnę także kilka słów o słynnej skale „Loreley“, o której zapewnie Pani już dużo słyszała? Nad Renem często słyszy się pieśń o wymienionej skale. Pieśń ta mówi, że na skale siedzi piękna dziewczyna i rozczesuje złotym grzebieniem swoje złoty włosy, zaś brzegiem Renu przejeżdża statkiem młody rybak. Widok dziewczyny wprowadza go w taki zachwyt, że nie zważa na skały podwodne, lecz wpatrzony na piękną „Loreley“. Pieśń kończy się tragicznie. Rybak rozstrzaskuje statek o owe podwodne skały, a sam ginie w falach Renu.

Legenda ta powstała dlatego, że miejsce na Renie, pod skałą Loreley jest bardzo niebezpieczne dla żeglarzy z powodu wielkiej ilości skał podwodnych. Niektóre z nich są tak wysokie, że woda je ledwo nakrywa. Często wieczorem urządzałam sobie po Renie przejażdżki łodzią, (naturalnie jechałam zawsze z prądem). Widok wspaniały, gdyż po obydwóch brzegach Renu znajduje się moc hoteli, jeden przy drugim. Prawie każdy posiada, przez cały front domu, oszkloną werandę. Wieczorem tonie cała w jasnych światłach i jest przepełniona gośćmi. Jadąc środkiem Renu, byłam zawsze pod wrażeniami bajki z tysiąca i jednej nocy, gdyż światła z werand z obydwóch stron kładły na falach rzeki przepiękne refleksy, zaś tony muzyki zlewały się harmonijnie z cichem rytmicznem uderzeniem wioseł.

Na dzisiaj kończę już. Dalsze moje wrażenia postaram się opowiedzieć w następnych listach.“

Prosimy Panią o to bardzo, a dzisiaj ślicznie dziękujemy za wrażenia wyżej przez Panią podane.

CZY „LILKA“ NAPISZE?

„Teji“. Sprawę przesłania numerów okazowych „Mojej Przyjaciółki“ — załatwiłam. Sądzę, że przesyłkę już Pani odebrała?

Dziękuję za życzenia świąteczne i ślę w imieniu Pani pozdrowienia: „Jeźdźce z Kujaw“ — „Dzikiej Orchidei“ — „Białej Uajali“ — „Promykowi“ — „Marynie“ — „Toli“ — „Księżniczce Dari“ — „Dzince“ — „Elżuni z Torunia“ — „Kalinie“ — „Lilce“ — „Pellowi“ — „Dumnemu Jeleniowi“ — „Jerzemu“ i „Marzycielowi z pod Gniezna“.

Słowa, przeznaczone dla „Lilki“ przedrukowuję: „Możeby „Lilka“ napisała do mnie list stenografją, gdyż system Korbla znam bardzo dobrze?!!!“

CZEKAM

„Śledź Pomorski“ to bardzo wesoły młodzian. Niczem się nie przejmuje — jak twierdzi — lecz zawsze trzyma się zasady: głowa do góry!

Do swego sympatycznego listu dołącza pozdrowienia dla: „Pomorzanki z nad Wisły“ — „Tęsknoty z Działdowa“ — „Smutnej Indjanki“ — „Błyszczącej Gwiazdeczki“ — „Sarenki“ i „Jastrzębia z Borów Tucholskich“.

A teraz żegnam tego miłego Pana i czekam na nowy list od niego oraz zapowiedianą fotografję.

NIE MOGŁAM

M. Kysia. Droga Pani! tym razem nie mogłam Pani dać wcześniejszej odpowiedzi na list, gdyż nie pozwalał mi na to olbrzymi nawał korespondencyjny. Myślę, że usprawiedliwi mnie Pani i nie będzie miała do mnie żalu za zwłokę?

Bardzo chętnie przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia: „Dzikiej Cygance“ — „Idzie“ — „Ord - Omowi“ — „Te - Em“ — „Dumnemu Jeleniowi“ — „Blondynkowi w mundurze“ i „Hrabiemu Monte Christo“, oraz proszę Ich o skreślenie do Pani kilku słów.

Czy otrzymała już Pani od „Ryśki D.“ odpowiedź? List do Niej wysłałam.

MIŁY LIŚCIK

„Iste — Wenus“. Wierszyk nadesłany przez Panią jest śliczny. Proszę niech Pani mi doniesie czy jest on utworem ściśle samodzielnym, czy też wzorowała się Pani na jakimś innym wierszu. Jeżeli jest samodzielnym, zostanie umieszczonym na okładce.

Niżej zamieszczam liścik Pani, z którego ucieszą się napewno bardzo Sympatyczki „Krainy“.

„Dziękuję bardzo „Duśce“ za pozdrowienia. Ona pierwsza mi je przesłała i tem samem sprawiła mi wielką radość. Ciekawa jestem bardzo jak wyglądasz, Dziewczynko o złotem serduszku. Wyobrażam sobie Ciebie tak: musisz mieć tłuściutką, różową i bardzo, bardzo kochaną twarzyczkę i że jesteś bardzo miłą. Czy zgadza się?

Smutnej „Białej Uajali“ przesyłam jak najpromienniejszy uśmiech i pragnę gorąco, aby nie była tak smutna.

„Leśnej Rusałce“ dziękuję za milutkie pozdrowienia i ściskam ją serdecznie.

Drogiej „Wenus“ również dziękuję za miłe pozdrowienia i ściskam Ją serdecznie. „Dzińce“ — „Duszyczce“ i Jadźce z Kujaw ślę moc serdeczności.

BARDZO MI MIŁO

„Szczęsny“. Nie wierzy Pan, jak mi miło, że znowu po tylu miesiącach napisał Pan do mnie. Ciekawa jestem, co to za „wypadki życiowe“, nie pozwoliły Panu na utrzymywanie stałego kontaktu z „Krainą“. A może Pan uchyli nieco rąbka tej tajemnicy?

Zadania rozrywkowe — bardzo dobre. Wszystkie zostaną zamieszczone. A teraz żegnam Pana i oczekuję dłuższego listu.

WARTOŚCIOWA I CIEKAWA KORESPONDENCJA

„Bajka“. Droga „Bajko“! Pomimo, że nie otrzymałam od Ciebie specjalnego pozwolenia, zamieszczam Twój piękny, refleksyjny, jak zwykle, liścik. Może ktoś zainteresuje się Twojemi myślami i prześle Ci swoje zapatrywania, może ktoś będzie chciał ciekawie z Tobą podyskutować, albo odpowie w kilku słowach na Twoje refleksje i rozważania.

W życiu człowieka tak bardzo, bardzo dużo smutnych chwil. Dla mnie w chwilach takich dużą pociechą jest korespondencja — ona zaciera niejedną gorzką łzę. A cóż dopiero teraz, kiedy świat tak bardzo opustoszał. Ostatnie listki zwarzył przymrozek i rozrzucił po ziemi niby wielkie kolorowe łzy. Ach! jak bardzo przykro i smutno spoglądać na to powolne zamieranie tak niedawno jeszcze zielonej rozsłonecznionej i rozśpiewanej przyrody.

Patrząc na te przejawy natury, mimowoli zaczyna się myśleć o niestałości wszechrzeczy, o krótkotrwałości naszego doczesnego pielgrzymstwa. Gdyby to choć się dobrze układały życia koleje, ale jak rzadko to się dziś zdarza wobec piętrzących się ze wszech stron niezmiernie pod każdym względem trudnych warunków. Chcąc się jednak nie spaczyć, nie upaść na duchu, podtrzymać radość życia, trzeba żyć w przeświadczeniu dobrego jutra — łudzić się nadzieją. Nadzieją... tak, bo bez niej, cóż warte byłoby życie, na szara na tym padole egzystencja?

A teraz, korzystając z okazji zasyłam miłe i bardzo serdeczne pozdrowienia: „Blance“ — „Stelli Maris“ — „Złotej Niteczce“ — „Księżniczce Dari“ — „Aniteńce“ — „Izaris“ — „Etjopce“ — „Ledi“ i „Córce Wichru“ z prośbą, by któraś z Was, Kochane Siostrzyczki, napisała parę słów do mnie. A może napisze do mnie „Parys“, któremu bardzo dziękuję za przysłane mi kiedyś pozdrowienia, a które odwzajemniam dziś w pełni? Może „Pajac“ — „Kruczowłosy Królewicz“ — „Pokutnik“ — „Ord - Om“, lub jeszcze ktoś inny — każdy liścik mnie ucieszy i na każdy odpowiem z przyjemnością.

Z „Jerzym“ i „Waldym“ również chętnie nawiązałabym korespondencję, niech jednak Ci Panowie będą mężczyznami w każdym calu (jak pisze nasza „Eden“) i pierwsi napiszą.

„Samotnego Lesia“ zapytuję, dlaczego tak uporczywie milczy? „Bajka“ bardzo tęskni za jego listami, także za odpowiedzią „Miłej Zapałeczki“ z przyobiecaną fotografją. Przesyłam Jej serdeczne uściski“.

MOJE ŻYCZENIA

„Augustowianka.“ Obdarzyła mnie Pani tak wielką ilością życzeń, że nie wiem, jak Pani za nie podziękować. Najlepiej będzie, gdy uściskam Panią i ucałuję, choć na odległość.

Muszę Panią również wyprowadzić z błędu i zwrócić uwagę, że nie jestem tą, za którą mnie Pani ma. Osoba moja stanie się więc znowu dla Pani wielką zagadką, nad którą będzie łamała Pani główkę. A może już teraz łatwo i prędko odgadnie kim jestem?

Pozdrowienia dla: „Elżuni z Torunia“ — „Heli Śmieszki“ — „Leszka Czarnego“ — „Samotnego Roma“ — p. Teofila Heredy i „Tośki z Trzcinicy“ — przekazuję bardzo chętnie i życzę Pani w Nowym Roku jeszcze więcej beztroski i radości. Pa!

CZY PRZYNIOSŁY ZADOWOLENIE?

„Terenia z szlacheckiego dworku“. Wyobrażam sobie radość Pani, gdy otrzymała liściki od Nieznanych. Ciekawa jestem, czy przyniosły one Pani pełne zadowolenie?

Pozdrowienia dla: „Miłej Zapałeczki“ — „Jerzego“, — „Waldego“ — „Lazuru“ — Gladjatora“ i „Ben-Alego“ — przekazuję.

PROSZĘ O DOKŁADNY ADRES

„Myszka“. Pretensje Pani, dotyczące prenumeraty „Moich Powieści“, załatwiła administracja.

Za życzenia świąteczne — bardzo Pani dziękuję i proszę o podanie dokładnego adresu, celem dania Pani listownej, obszerniejszej odpowiedzi, na przesłany list.

KTO SPEŁNI PRAGNIENIE?

„Uśmiech Poranku“. Posiada Pani śliczny pseudonim i beztroskie, radosne spojrzenie na świat. Jest Pani naprawdę młodą i świeżą w wypowiadaniu swych myśli. Życzę Pani szczerze pozostania na zawsze przy tych pogodnych, prawdziwie młodzieńczych zapatrywaniach.

Pragnie Pani korespondować skimś miłym i wesołym? Myślę, że zbyteczny zupełnie mój apel. Pewna jestem, że ktoś uśmiechnie się do „Uśmiechu Poranku“.

Pozdrowienia dla: „Nieszczęśliwej“ i „Małej Filuś“ — przekazuję.

KIEDY?

„Kapłanka Wschodu“. Wierszyki Pani są bardzo smutne i ładne, brak w nich tylko miejscami rytmu. Mówią one, że bardzo dużo Pani cierpiała. Zaklęła w nich Pani poprostu swój ból i tęsknotę w nadzieję. Wierzy Pani, że kiedyś ujrzy znowu światło i że hart duszy zwycięży beznadziejny smutek. Piękną jest ta Pani wiara. Kto wie, czy kiedyś nie zatryumfuje?

Pozdrawia Pani: „Białą Uajali“, „Jadźkę z Kujaw“ i „Lazur“, podaję więc wymienionym Sympatykom powyższe do wiadomości.

Kiedy znowu Pani do mnie napisze? Chyba wkrótce? Proszę bardzo!

ADRESY STANOWIĄ TYLKO WYŁĄCZNĄ WŁASNOŚĆ REDAKCJI

P. M. S. z Widawy. Adresów, o które Pan prosi, nie mogę Panu nadesłać. Jak już tyle razy pisałam, adresy naszych Sympatyków stanowią wyłączną własność redakcji.

Z nadzieją, że Pan pogodzi się z dotychczasowemi sposobami przekazywania listów, przesyłam Panu jak najmilsze pozdrowienia.

KTÓRA PIERWSZA NAPISZE?

„Geniek“. Jak widzę z listu, wyobraża sobie Pan mnie jak najlepiej. Bardzo mnie to cieszy i proszę mi wierzyć, że postaram się nie zawieść w niczem Pana.

Do naszego grona oczywiście przyjmuję Pana. Równocześnie zdradzam Sympatyczkom „Krainy“, że jest Pan miłym chłopcem, pracowitym i bardzo zrównoważonym. Korespondencja z Panem napewno niejednej przyniesie dużo zadowolenia. Ciekawa jestem która z Pań prześle pierwsza liścik dla „Geńka“!

DZIĘKUJĘ

„Wesoła Irutka“. Powieść „Wśród warjatów“ pociągnie się jeszcze kilka miesięcy. Bardzo Pani dziękuję za jednanie nowych abonentów i serdecznie pozdrawiam.

CIESZĘ SIĘ RÓWNIEŻ

„Samotne Dzidzi“. Cieszę się wraz z Panią, że liściki z szerokiego świata, przyniosły z sobą do Pani radosny powiew i wzbudziła pożądany oddźwięk w sercach Sympatyków. Oby już tak nadal pozostało! Proszę Panią o dalszą pamięć i jak najserdeczniej pozdrawiam.

ADRES!

„Sarenkę“, której dawałam odpowiedź w numerze z dnia 23. 11. 35 r., proszę bardzo o dokładne podanie mi adresu, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji.

MAM WRAŻENIE

„Abisynka“. Pseudonim Pani bardzo aktualny. Mam wrażenie, że wzbudzi zainteresowanie wśród Sympatyków „Krainy“, zwłaszcza zapalonych polityków i „abisynjomanów.“ Liścik Pani zamieszczam niżej, w tym celu, aby go sobie wszyscy przeczytali:

„Hallo! — Tu „Abisynka“ apeluje do Milusińskich z „Krainy szczerości i naszych trosk“.

Czy zostanę przyjęta? Jestem bowiem „Abisynką“, a tylko Polacy zdaje się mają w niej prawo figurować?

Dowiedziałam się już bardzo dawno o istnieniu tej miłej, szczerej, pełnej harmonji „Rodzince“, więc i ja pragnęłabym do niej należeć.

U nas wielki niepokój, jak wiadomo. Wojna — proszę sobie wyobrazić — to dla mnie coś okropnego — niemożliwego i dlatego uciekłam, by nie słyszeć i nie widzieć tych potworności, a tu naprzeciw wychodzi mi „Gladjator“ z szarej areny.

Podaję Ci swą prawicę, na znak sympatji. Proszę mi wierzyć, że nic tak mi nie imponuje, jak cześć i miłość syna dla matki, której niestety, ja nie mam.

Ślę Ci za to „Gladjatorze“, moc serdecznych pozdrowień. Chętnie napisałabym do Ciebie, lecz nie lubię być pierwszą.“

„Abisynka“.

„PRAGNĄŁBYM“...

„Niebieskooki handlowiec“ pragnie nawiązać kontakt z naszem gronem. Oto co pisze:

„Jestem 21-letnim absolwentem Szkoły Handlowej. Apeluję do Sympatyczek „Krainy“, zwolenniczek kina i książek, aby rozjaśniły moje myśli miłemi liścikami. Pragnąłbym, aby napisali do mnie: „Pays de cocagne“, „Leśna Rusałka“ i „Maleńka Tajemnica.“

Pyta Pan, czy może nadsyłać zadania do „Chwili zastanowienia“. Ależ naturalnie! Bardzo proszę! Pozdrawiam i życzę Panu w Nowym Roku zmiany na lepsze.

SZYBKA ODPOWIEDŹ

„Szatynka z Czerniejewa“. Prośbie Pani, zresztą bardzo skromnej, czynię zadość i przyjmuję Panią do „Krainy“. Równocześnie przedstawiam Sympatykom:

„Szatynka z Czerniejewa“ to dziewiętnastoletnia panienka, zamiłowana w muzyce i śpiewie. Wielką satysfakcję sprawią Jej zawsze korespondencja, apeluje więc o miłe listy, przyrzekając dać szybką odpowiedź.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZ DOBRY

P. K. K. z Warszawy. Wiersze Pana dotychczas nadesłane, podobały mi się bardzo. Ostatnio nadesłany do oceny pod tytułem: „Moja książka“, również nie zły. Ukaże się w najbliższym numerze „Moich Powieści“.

WIERSZYKI SŁABE

„Księżniczka Dari“. Jakże mi przykro! Przepadła Pani „z kretesem“! Ani jeden wierszyk nie jest dobry. Temu brak rytmu, innemu oryginalnych myśli, a jeszcze innym wyrazistości i pogłębienia myśli. Jeżeli Pani posiada dużo silnej woli, może kiedyś coś dobrego napisać, narazie jednak utworki Pani są bardzo słabe.

W sprawie przesyłania korespondencji do „Pałuczanina“ radzę Pani napisać po informacje do redakcji tegoż pisma.

Żegnam Panią serdecznym uściskiem dłoni i zagrzewam do dalszej pracy i wytrwałości w pisaniu wierszy. Pierwszy, dobry utwór Pani powitam z jak największą radością.

BĘDZIE LEPIEJ

„Arbiter“. Pseudonim Pana bardzo wytworny. Właśnie on kazał mi się spodziewać, że i nowele Pana będzie cechowała kultura i dobry smak, cóż, kiedy się zawiodłem! Sensacje kryminalne, które są wytworem Pańskiej bujnej wyobraźni, nikomu, — po przeczytaniu — nie dałyby nietylko żadnych korzyści, ale nawet chwilowej rozrywki. O jakiemkolwiek zadowoleniu estetycznem nie może być mowy. Lepiej będzie, gdy Pan przestanie wogóle pisać, gdyż o zasilaniu literatury takiemi mało wartościowemi ekwilibracjami wogóle myśleć Pan nie może. Oto jedyna moja życzliwa rada!

Raj kobiet



Zimowe kostjumy

Zima tegoroczna jest dość łagodna, panie więc, poza futrami, ubierają się chętnie w kostjumy i lżejsze płaszczyki. Na zdjęciu widzimy dwa bardzo piękne modele zimowych kostjumów z prążkowanej wełny, przybranych futrem.

Londyńczycy przeciw malowaniu twarzy

Jedno z pism londyńskich rozpisało niedawno ankietę na temat tego, jakie kobiety podobają się bardziej mężczyznom: malowane, czy też nieozdobione żadnym sztucznym dodatkiem.

Rezultat ankiety wypadł bardzo znamiennie. Okazało się, że znaczna większość mężczyzn woli kobiety niemalowane, naturalne, ubrane prosto bez przesadnej, krzykliwej elegancji.

Malowane policzki, czernione rzęsy, barwione wargi, przesadnie ondulowane włosy — wszystko to zostało jaknajbardziej stanowczo potępione. Tak modny do niedawna typ wampa jest obecnie, w oczach panów londyńskich, bezapelacyjnie zdyskredytowany.

— Prawdziwa kobieta, jest kobietą prostą.

— Szminka odejmuje kobiecie czar i urok niewieści.

— Malowana kobieta, nie może być kobietą uczciwą, ponieważ stara się oszukać bliźnich swoim wyglądem.

— Szminka jest zaprzeczeniem godności kobiecej.

Oto kilka odpowiedzi nadesłanych do redakcji; świadczą one wymownie o gustach i usposobieniach londyńczyków. Ale... każdy medal ma dwie strony. Pismo, publikując wynik tej ankiety, podaje jednocześnie do wiadomości wysokość przeciętnych sum, jakie angielki wydają na kosmetyki. Wydatek ten wynosi bagatelkę poprostu, bo tylko... dwadzieścia miljanów funtów rocznie.

Dwadzieścia procent tej sumy wydają robotnice fabryczne, stenotypistki i... studentki. Większość klijentek w zakładach fryzjerskich i gabinetach kosmetycznych, to kobiety pracujące.

Jak pogodzić wyniki ankiety z temi danemi cyfrowemi! Trudno to wprost ze sobą w jakiś sposób powiązać. Chyba żeby przyjąć tę dosyć niewiarogodną ewentualność, że kobiety angielskie bardzo niewiele interesują się zdaniem mężczyzn, jeśli idzie o ich powierzchowność.

Jest jeszcze i druga ewentualność. Może gusty londyńczyków są wyjątkowo zmienne, i ich upodobanie do niemalowanych kobiet datuje się od tak niedawna, że nie mogło jeszcze wpłynąć w jakiś sposób na obrót w handlu kosmetykami i na ruch w zakładach fryzjerskich.

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 12 stycznia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 11.00 Koncert 12.15 Poranek muzyczny z Krakowa 14.00 „Wiejski znachor" — fragment z powieści 14.20 Muzyka salonowa 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Na huculskim koniku" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 17.40 „Migawki regjonalne" 18.00 Kwintet fortepjanowy f-moll Francka 18.30 „Gody podhalańskie" — słuchowisko 19.40 Wiadomości sportowe 19.45 Co czytać 20.00 Marszałek Józef Piłsudski i rok 1863 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Wesoła Lwowska Fala 21,30 „Na naszem Podolu" — feljeton 22.00 Drugi koncert pianistów wyeliminowanych na Konkurs Chopinowski 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 13 stycznia 1936 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka lekka i salonowa 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka lekka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego 16.45 „W biurze" i „Telefon usprawnia życie, zbliża i przyspiesza" — skecze 17.00 Jak zorganizować dom pogadanka 17.15 Minuta poezji 17.20 Arje i pieśni w wykonaniu Zenona Dolnickiego 17.50 Pogadanka Brunona Winawera 18.00 Recital fortepianowy Artura Hermelina 18.30 Listy od dzieci 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja strzelecka 20.30 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Stare niemieckie pieśni ludowe w wykonaniu Podwójnego Kwartetu Wokalnego rozgłośni wrocławskiej 21.50 Wielki liryk Rainer Maria Rilke — wieczór literacki 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna

Wtorek, dnia 14 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Śpiewajmy piosenki — audycja dla szkół 12.30 Muzyka operowa 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka popularna 16.00 Skrzynka P.K.O. 16.15 Tańce hiszpańskie 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Maszyna do pisania — pogadanka z cyklu „Wielkie i drobne wynalazki" 17.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry P.R. 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Recital fortepianowy 18.30 „Typ społeczny w naszej literaturze kobiecej" — szkic literacki 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Monolog 20.10 Koncert symfoniczny W przerwie około godz. 20,50: Dziennik wieczorny, oraz „Obrazki z Polski Współczesnej" 22.00 Dziedziczenie chorób — odczyt dla lekarzy 22.45 Polska w zimie — odczyt w języku francuskim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 15 stycznia 1936 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Biblioteka domowa — pogadanka 12.30 Koncert Orkiestry Kameralnej 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Rozmowa Majstra Klepki z Lepigliną 16.20 Pieśni murzyńskie 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Powieść kryminalna" z cyklu „Dyskutujmy" 17.20 Muzyka krajów północnych 17.50 Świat się śmieje 18.00 Recital organowy 18.30 Skrzynka ogólna 18.55 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Godzina Zagłębia Dąbrowskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.52 Obrazki z Polski Współczesnej 20.57 XX Audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.35 „Poezje Czesława Miłosza i Władysława Sebyły" 21.50 „Bezpłatna reklama" — pogadanka dla kupców 22.00 Nastrojowe piosenki 22.30 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 16 stycznia 1936 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Muzyka (płyty) 15.30 „Sentyment i humor w piosenkach przed stu laty" — reportaż muz. 16.00 „Gadaninka Starego Doktora" — aud. dla dzieci 16.15 Płyty dla znawców 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Co to jest samokształcenie" — odczyt 17.15 Muzyka salonowa 17.50 „Książka i wiedza" 18.00 Recital fortepianowy Imre Stefaniai ego 18.30 Film, plastyka, architektura 18.45 Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Tu sprzedaje się maski" — lekka audycja ze Lwowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski Współczesnej 21.00 „Halo! tu Brygada" słuchowisko oryginalne — Ernesta Johannsena 21.40 Nasze pieśni w wykonaniu Eugenjusza Maya 22.00 Koncert Symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P.R. 23.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 17 stycznia 1936 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Samolotem nad Afryką" — audycja dla szkół 12.40 Zespół Aleksandra Dorana 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert orkiestry pod dyrekcją Tadeusza Seredyńskiego 16.45 „Przyroda w styczniu" — pogadanka dla dzieci starszych 17.00 „Podróż wgłąb Polski podziemnej" — reportaż 17.15 „Minuta poezji" 17.20 Kwintet na instrumenty dęte 18.00 Recital śpiewaczy Manety Radwanówny 18.30 Pogadanka aktualna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy z Krakowa 19,50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 „Od chatki do chatki" — suita chłopska Tadeusza Sygietyńskiego 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert Europejski z Lipska 22.00 Kwartety Józefa Haydna 22.30 Muzyka taneczna z dancingu Cale Club.

Sobota, dnia 18 stycznia 1936 r.

6,30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka lekka i salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. 13.00 Koncert południowy 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 14.30 Orkiestra Klubu Mandolinistów „Sempre vivo" 15.00 „Rozwód" — nowela Zuzanny Rabskiej 15.30 Orkiestra Straży Więziennej 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Pieśni w wykonaniu Zofji Zeyland-Kapuścinskiej 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „As pik i cztery damy" reportaż z cyklu „Sekrety stolicy" 17.45 „Sum" — pogadanka z cyklu „Świat naszych zwierząt" 17.50 „Pabjanice" — pogadanka z cyklu „Nasze miasta i miasteczka" 18.00 O Helence co poszła na tarki — słuchowisko dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.55 Przegląd prasy rolniczej 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Zaręczyny pod latarnią — operetka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski Współczesnej 21.00 Kółka samokształceniowe młodzieży — audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Wesoła Syrena 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Wśród warjatów
czyli
Upiór zamku Sokolskich
(Romans) 10)

„Rozumiem. Proszę, mów pan dalej.“ Wypadek interesował kapitana. Marynarze słuchają chętnie opowiadań, a dotychczasowe słowa lekarza zapowiadały coś ciekawego.

„Przyjechałem do Anglji i zostałem nadzwyczaj uprzejmie przyjęty przez baroneta, który jednak wydał mi się smutnym i przygnębionym.

„W naszej rodzinie zaszedł przykry wypadek — mówił Ravington — moja kuzynka, lady Elżbieta Ravington, młoda, śliczna dziewczyna, z którą zaręczyłem się pokryjomu przed paru miesiącami, i z którą chciałem się ożenić, nagle poczęła zdradzać dziwne zachowanie, tak, że mimowoli przyszła mi myśl do głowy, czy jej rozum nie poniósł jakiej szkody. Wystaw pan sobie, nieszczęśliwej zdawało się, że ją nienawidzę i pragnę wydrzeć jej cały majątek. Dlatego prowadziła zupełnie odosobnione życie. Proszę ją w ęc obserwować i powiedzieć mi całą prawdę, co mam robić.“

„Obserwowałem więc Elżbietę Ravington i przekonałem się, że obawy kuzyna i narzeczonego były niestety uzasadnione. — Naturalnie nie mogłem przedstawić się otwarcie młodej damie jako lekarz, dlatego byłem zmuszony używać różnych sposobów, celem obserwowania jej stanu. — Niech pan sobie wyobrazi cudowne dziewczę, mieszkające same, bez służby, w olbrzymim pałacu, za zaryglowanemi ciągle drzwiami. Ponadto kuzynka baroneta żyła w obawie, by ją nie otruto i dlatego nie prowadziła własnej kuchni, jadając w dwuznacznych, małych restauracjach. Mojem zdaniem, nawet każdy laik musi mi przyznać, że w tym wypadku rozchodzi się o zwykły obłęd prześladowczy.“

„Tak przynajmniej wygląda“, zawołał kapitan, szkoda tylko tej młodej dziewczyny! Czyż niema dla niej żadnej pomocy?“

„Możliwe bardzo“, odparł doktór, „że lady Elżbieta może zostać zupełnie wyleczoną, jeżeli się podda odpowiedniej kuracji w jakim zakładzie. O tem jednak niema co myśleć, nieszczęśliwa bowiem będzie z pewnością myśleć, że ją chcą usunąć albo zamordować. Ona cierpi właśnie na tego rodzaju obłąkanie, które w każdym bliźnim widzi tylko swojego nieprzyjaciela!“

„Smutne to bardzo!“ szepnął kapitan „Gloire de France“, jednak pomimo tego nie widzę związku, któryby miał coś wspólnego z tym przykrym wypadkiem a moim okrętem. Co skłoniło pana do przybrania fałszywego nazwiska?“

„Proszę o chwilkę cierpliwości, panie kapitanie. — Niech pan będzie łaskaw najpierw zbadać te notarjalnie potwierdzone zeznania świadków, które zgadzają się zupełnie z mojem opowiadaniem. Patrz pan, oto świadectwo wystawione przez notarjusza Blak, adwokata lady Elżbiety, w którem uważa ją za obłąkaną. To znowu potwierdzenie byłego jej lokaja, który zeznaje, że go nazwała trucicielem i wydaliła następnie ze służby. Tutaj zeznaje zaś pokojówka lady Elżbiety, że jej pani w mniemaniu, jakoby w pałacu byli zgromadzeni sami nieprzyjaciele, jednej nocy podłożyła ogień we własnem mieszkaniu, a tu —“

„Dosyć, drogi panie, dosyć!“ zawołał kapitan, „wobec tych świadectw nie można dłużej wątpić. Nie rozumiem tylko, — dlaczego daje mi pan do czytania te papiery, — ja przecież nie mogę pomóc biednej Elżbiecie.“

„Ale pan mógłbyś przeszkodzić temu“, odparł doktór Morizano, spoglądając z chytrością na kapitana z poza okularów, „a tego właśnie muszę uniknąć; panie kapitanie“, mówił dalej podniesionym głosem, „nieszczęśliwa, którą tyle świadków uważa za obłąkaną, którą ja, doktór Morizano, po długiej obserwacji jestem zmuszony uznać za niebezpiecznie umysłowo chorą, ta lady Elżbieta znajduje się na pokładzie pańskiego okrętu!“

Kapitan podniósł się i patrzył ze zdumieniem na doktora.

„Obłąkana na pokładzie mojego okrętu?“ zawołał, „to niemożliwe, — to by zauważono! Młoda dama byłaby się zdradziła przecież swojem zachowaniem.“

„Przeciwnie, panie kapitanie! Umysłowo ciężko chorzy są zwykle zupełnie spokojni, zachowują się roztropnie, nagle zaś opanowuje ich prześladowcza myśl, popełniają jakieś nieszczęście albo dostają ataku szaleństwa. Mówiłem panu, że młoda lady chciała podpalić w Londynie swój własny pałac. Równie dobrze może jej wpaść do głowy wzniecić pożar w dolnych częściach okrętu, albo rzucić się w morze.“



W Belgradzie obchodzono niedawno tradycyjne „święto matek“. Młody król Piotr II rozdawał poraz pierwszy w obecności swej matki biednej dziatwie szkolnej podarki. Na naszem zdjęciu widzimy matkę króla, a obok niej króla Piotra z braćmi.

„W obu wypadkach spadłaby na mnie ciężka odpowiedzialność!“ odparł kapitan, mierząc kajutę niespokojnym krokiem; „to straszne! Człowiek obcuje z pasażerami i nie przeczuwa, że mówi z niebezpiecznym warjatem. Drogi doktorze, poradź mi pan, co mam robić! Jak mam postąpić, celem uratowania okrętu i podróżujących przed tą obłąkaną?“

„Teraz, panie kapitanie“, zawołał Morizano z tryumfującym uśmiechem, „wyłuszczę cel mojej wizyty. Uważam za konieczne opowiedzieć panu ten wstęp, chcę bowiem usprawiedliwić w oczach pańskich pewne kroki, jakie mam zamiar przedsięwziąć. Prócz tego liczę na pomoc pana kapitana.“

„Niech pan będzie pewny, uczynię wszystko, co tylko leży w mojej mocy!“ odrzekł kapitan, — „o, niebezpieczna obłąkana na pokładzie! — Wolałbym mieć do czynienia z silną burzą! Przynajmniej, jako marynarz, potrafiłbym stawić jej czoło. Natomiast czuję się zupełnie bezsilny wobec niebezpieczeństwa, które mi grozi ze strony owej młodej dziewczyny.“

„Naturalnie, wszyscy znajdujemy się w niezbyt bezpiecznem położeniu“, dodał Morizano, „nie można bowiem przewidzieć, jaka jej myśl wpadnie do głowy. Ale, panie kapitanie, tego nie powiedziałem jeszcze panu, pod jakiem nazwiskiem wsiadła owa nieszczęśliwa na ten okręt.

„Z tego może pan osądzić całą przebiegłość chorej, która dostała się na okręt w Plymouth pod przybranem nazwiskiem. Mimo, że jest bogatą kupiła bilet trzeciej klasy i nazwała się Elżbietą Flower.“

„Elżbieta Flower!“ zawołał kapitan, spoglądając osłupiały na Morizano, „czy to nie ta piękna, młoda, jasnowłosa dama, która zachwyciła wszystkich swoją grą na fortepianie?“

„Tak jest, to ona!“

„I ona ma być obłąkaną, nieszczęśliwą, gołową na wszystko? — Panie doktorze, w to nie mogę wierzyć, — grała przecież jak skończona wirtuozka.“

„To nie dowodzi niczego, panie kapitanie,“ odpowiedział pospiesznie lekarz, „umysłowo chorzy, cierpiący na tą słabość, nie tracą nigdy artystycznej biegłości, którą im wpojono w młodości. Jako lekarz specjalista, mogą przeciwnie zapewnić pana, że niektóre talenty rozwijają się dalej, mimo choroby. Niejeden uczony, który dostał pomięszania zmysłów, napisał w domu warjatów jeszcze wielkie dzieło, które wprawiło w podziw cały świat uczony.“ Powtarzam więc: ta dziewczyna cierpi na obłąkanie. Pozostaje tylko jeden środek do wybawienia załogi, okrętu i pasażerów, przed wybuchem tej warjatki, to jest odosobnić ją zupełnie. Bezwątpienia ma pan zapewne jakąś małą wolną celę, gdzieby ją można zamknąć, dopóki „Gloire de France“ nie zarzuci kotwicy w porcie Nowego Jorku. Proszę wskazać mi taką celę i pozwolić na zamknięcie w niej Elżbiety Flower z warunkiem, że tylko ja będę miał prawo do rozmawiania z biedną obłąkaną. Tylko w tym wypadku mogę zaręczyć, że nie przyjdzie do żadnego niebezpieczeństwa.“

„Nietylko zezwalam, drogi doktorze“ zawołał kapitan bez wahania, „lecz proszę nawet usilnie, byś pan przedsięwziął o ile możności jak najprędzej odpowiednie kroki. Życzyłbym jednak sobie bardzo, żeby cała ta sprawa odbyła się bez hałasu. — Podobna scena wywarłaby przykre wrażenie na wszystkich pasażerach.“

„Sądzę“, odparł Morizano, „że nikt nie zauważy tego, jeżeli mi pan nie odmówi swojej pomocy i zachowa w tajemnicy całe zajście. Jednak — gdzie znajduje się odpowiednia cela?“

Kapitan namyślał się chwilę, następnie przemówił:

„Tuż obok magazynu z prochem znajduje się mała cela, opatrzona żelaznemi drzwiami. Zwykle służy ona do przechowywania dynamitu i innych niebezpiecznych materjałów, które dostajemy jako towar. Tą razą cela jest wolna; klucze wręczę panu natychmiast.“

Kapitan z „Gloire“ przystąpił do ściennej szafki i otworzył ją małym kluczykiem, który wyciągnął z bocznej kieszeni.

Znajdowały się tam wszystkie klucze. Każdy z nich był zaopatrzony małą tabliczką drewnianą, na której widniał numer i uwaga, do jakiego celu służył każdy klucz.

Po chwili Morizano trzymał w swojej ręce klucz, który miał otworzyć przyszłe więzienie Elżbiety.

„Teraz, panie kapitanie“, mówił znowu doktór Morizano, wkładając klucz do kieszeni, „niech pan będzie łaskawy wyświadczyć mi jeszcze pewną pomoc. Proszę posłać kogoś ze służby do tej damy z poleceniem, że pan życzy sobie pomówić z Elżbietą Flower. Naturalnie przyjdzie, a resztę ja już załatwię!“

„To by tak wyglądało, jakbym ją chciał zwabić w pułapkę“, odparł kapitan, potrząsając głową. „Panie doktorze, otwarcie mówiąc, nie zwykłem zajmować się tego rodzaju sprawami!“



Na drodze polnej z Wersalle do Le Pece (Francja) nastąpiło wskurek niepogody i częstych przejazdów taksówek, gwałtowne obniżenie ziemi, która przysypała pięć osób. Obrazek nasz przedstawia miejsce, bezpośrednio po katastrofie.

„Rozważ pan tylko; rozchodzi się o obłąkaną“, wtrącił lekarz, „inaczej nie można z nią postąpić. Albo pokonamy ją własnym podstępem, albo też ona oszuka nas i wywiedzie w pole.“

„Ma pan rację“, zawołał niechętnie kapitan, „jeżeli się coś zaczęło, to i trzeba skończyć.“

„Dobrze, poślę do niej natychmiast stewarda, uprzedzam jednak pana zgóry, że za nic w świecie nie chcę być świadkiem waszej rozmowy.“

„To zupełe zbyteczne“, odparł szybko Morizano, „jeżeliby jednak pan chciał okazać mi całą swoją dobroć, to upraszam o łaskawe pożyczenie pańskiej czapki i surduta na kilka minut. Odegram za pana rolę kapitana.“

„Zgoda“, zawołał kapitan, „weź pan ten mundur, który wisi tam na wieszadle i tą czapkę. — Haha, nie byłbym przypuścił, że na pokładzie Gloire de France“ znajdzie się dzisiaj w nocy fałszywy kapitan. Będę jednak zupełnie spokojny, byle tylko owa biedna obłąkana znalazła się już raz w bezpiecznem miejscu. Rozchodzi się nietylko o nas i o pasażerów, lecz także i o biedne stworzenie. — O przypadek nie trudno, mogłaby wskoczyć do morza, — niech mię djabli wezmą, przecież byłoby szkoda, gdyby straciła życie w tak młodym wieku.“

Kapitan chciał żadzwonnić na służącego, Morizano pochwycił go jednak za rękę.

„Zanim poślemy po Elżbietę“, rzekł doktór, „proszę opisać mi dokładnie położenie owej celi, chcę bowiem załatwić zupełnie sam odosobnienie nieszczęśliwej.“

Kapitan wskazał ręką na ścianę, na której wisiał duży plan okrętu. Nie trwało długo a Morizano dowiedział się, jak miał iść, by się dostać do tej celi, do przyszłego więzienia biednej, nic nie podejrzywającej dziewczyny.

„Wybornie“, zawołał Morizano, patrząc na plan z cynicznym uśmiechem, „ta cela znajduje się na samym spodzie okrętu, naturalnie tam nikt nie zagląda?“

„Nikt!“ potwierdził kapitan.

„A czy ją nie będzie słychać, jeżeliby krzyczała i rzucała się po celi?“

„Ani jeden ton nie dojdzie do uszów pasażerów. Nawet marynarze nie wchodzą tam często. Obłąkana będzie więc znajdować się zupełnie w pańskich rękach. Pan jednak będzie się obchodził z nią łagodnie. Nieszczęśliwa nie powinna doznać nic złego, przynajmniej jak długo znajduje się na pokładzie mojego okrętu“.

„Panie kapitanie“, zawołał doktór Morizano, kładąc rękę na jego barki, „co pan sobie myśli? Niegdyś — przed laty — obchodzono się okrutnie z warjatami; obecnie jednak nie zdarza się coś podobnego. Dzisiejsza medycyna traktuje obłąkanych zupełnie łagodnie. Lekarze starają się wyleczyć lub złagodzić ich pomięszanie zmysłów spokojną mową i troskliwą opiekę. A zwłaszcza ja, panie kapitanie, zaraz na początku mojej karjery postawiłem sobie jako najgłówniejszą zasadę: okazywać zawsze wielką litość.

„Naturalnie trzeba być nadzwyczaj cierpliwym. Jednak przecież to nie są zbrodniarze; to tylko nieszczęśliwi, których los srogo nawiedził! A kto ma w piersi ludzkie, współczujące serce, ten nie zdoła uczynić im nic złego“.

„Ze słów pańskich widać przyjaciela ludzkości“, zawołał kapitan, podając rękę doktorowi Morizanowi.

Ach, gdyby kapitan przeczuwał w tej chwili, czyją dotknął rękę, — z przerażeniem byłby cofnął swoją prawicę. Nie wiedział, że miał do czynienia z djabłem wcielonym w ludzką postać, nie podejrzywał doktora Morizano o niecne zamiary, inaczej cela ze żelaznemi drzwiami byłaby się zamknęła za

podłym lekarzem. Może rozkazałby go rzucić w morze! Wiadomo, że marynarze nie lubią przestępców na pokładzie, którzy ich zdaniem sprowadzają nieszczęście na cały okręt i stają się przyczyną śmierci całej załogi.

„Teraz jest wszystko w porządku", zawołał Morizano, „panie kapitanie, proszę posłać służącego, by zawołał Elżbietę Flower".

„Niech się dzieje wola Boża", odparł kapitan z „Gloire de France", „idę poślę tam kogoś służby, sam zaś postaram się, by nikt nie wszedł do kajuty zanim pan nie umieści obłąkanej w ukryciu. Biedna dziewczyna, — czuję dla niej wielką litość. Bóg moim świadkiem, nie mogę postąpić inaczej, — musi się stać to coś pan żądał".

Kapitan oddalił się. Zaledwie zamknęły się za nim drzwi, gdy rysy doktora, łotra, skrzywiły się wstrętnym śmiechem.

Wyciągnął przed siebie tryumfująco swoje chude ręce.

„Haha", zaśmiał się „nigdy nie byłbym przypuścił, że tak łatwo pójdzie cała sprawa. Ten kapitan to skończony głupiec, którego można wywieść w pole jak gila, jeżeli mu się posypie tylko na przynętę w zatrzasku kilka ziarnek siemienia. — Jeżeli uczynię ją nieszkodliwą przez cały czas podróży, tak że nie będzie mogła nikomu opowiedzieć swoich losów, z wyjątkiem tej dziewczyny, z którą się tak prędko zaprzyjaźniła, — to moja sprawa wygrana! — W Nowym Jorku zmuszę ją gwałtem do podpisania owego dokumentu, który mi wręczył w tym celu Ralf Ravington.

„Wdziejmy teraz szybko nasze przebranie. Nie myślałem nigdy, że będę grał w mojem życiu rolę kapitana okrętu. Mundur ze złotymi guzikami pasuje mi wybornie".

W czasie tej rozmowy ze samym sobą przebrał się doktór Morizano w ubranie kapitana. Następnie przeglądnął się w lustrze z widocznem zadowoleniem.

Ach, musiał odłożyć złote okulary, chcąc grać rolę dalekowidza, — to zbudziłoby może podejrzenie Elżbiety.

Niechętnie jednak postanowił zrezygnować z ostrych szkieł, ponieważ miał nadzwyczaj słaby wzrok. Nie było niestety innej rady!

Młoda dziewczyna nie powinna odgadnąć jego planów, dlatego chcąc niechcąc był zmuszony zdjąć okulary i pozbawić się na kilka minut dobrego wzroku.

Morizano schował okulary i wyciągnął swój portfel. Otworzył go i wyjął parę małych czarnych pasków płóciennych.

Z uwagą dotknął się ich, lecz natychmiast obtarł sobie palce, ponieważ te paski płócienne były zwykłym plastrem smołowym, jednym z tych piekielnych wynalazków, którymi posługują się w londynie tak zwani rabusie Tamizy, owi złodzieje, którzy wałęsają się nad brzegami Tamizy i z nastaniem ciemności napadają na samotnych przechodniów.

Zwykle załatwiają się z tą robotą we dwójkę. Jeden z nich przystępuje do upatrzonej ofiary i zadaje jej jakieś pytanie, drugi tymczasem chwyta ją z tyłu za kark, błyskawicznym ruchem zamyka usta takim właśnie plastrem, tak że wargi nie mogą wydać najmniejszego okrzyku. — Następnie przeszukują kieszenie i zabierają całą gotówkę, lub kosztowności. Często wrzucają obrabowanego do ciemnych nurtów Tamizy, która unosi swoją zdobycz do morza.

Doktór Morizano poznał w Londynie wszystkie sztuczki przestępców.

„Od wszelkiego wypadku!" dodał wówczas z szatańskim uśmiechem, chowając do portfelu plaster smołowy.

Obecnie może mu się bardzo przydać. Doktór Morizano przykręcił płomień gazowej lampy i kajuta pogrążyła się w niewyraźny półcień.

Wszystkie przygotowania były ukończone, — czekał. Ofiara nie mogła wyjść z jego rąk. O tem był przekonany.

Dziesięć tysięcy funtów szterlingów, które obiecał Ralf Ravington, jeżeli usunie Elżbietę Flower, albo przyniesie jej podpis na testamencie, mocą którego sąd musi przyznać mu cały spadek, — wstrętny grosz Judasza, był tak jak w kieszeni!

CIV.

Bez okularów.

Anielcia i Elżbieta udały się na spoczynek. Pięknie urządzona kajuta wywarła na obie dziewczyny korzystne wrażenie, tutaj bowiem mogły razem mieszkać. To było zupełnie co innego mieć obok siebie wierną przyjaciółkę, aniżeli być samą w tej małej kajucie, samą na tym dużym okręcie, mieszczącym tyle obcych ludzi.

Obie młode dziewczyny rozebrały się, zamknąwszy drzwi za sobą. Rozmawiały chwilę, poczem Anielcia uklękła, odmawiając wieczorną modlitwę.

„Ty się modlisz?" zapytała Elżbieta.

„Naturalnie, każdego wieczora", odparła Anielcia, „polecam Bogu moją duszę i proszę go, by wziął w swoją opiekę wszystkich dobrych ludzi. A ty, Elżbieto, nie mówisz pacierzy?"

„Niegdyś modliłam się", odrzekła młoda Angielka, „obecnie jednak obcując ze złymi ludźmi, straciłam zupełnie wiarę w Boga. Dlaczego Bóg nie zaopiekował się mną, gdym była w rozpaczliwem położeniu!? Dlaczego musiałam opuścić Londyn, — chociaż miałam prawo do zajęcia pierwszego stanowiska w mojej ojczyźnie?"

„I za to robisz odpowiedzialnym Boga", przerwała Anielcia, „nie, tego nie powinnaś czynić! Sądzisz, że ty jesteś jedyną tylko kobietą, którą Bóg ciężko doświadcza?

„Moja droga, my wszyscy musimy cierpieć; kto jednak chodzi prawą drogą, wierzy i czci Go, ten dozna wreszcie szczęścia i osiągnie nagrodę. Bóg bowiem opiekuje się każdem stworzeniem, wytyka odpowiednie drogi, — dlatego ufaj Mu".

Elżbieta uklękła i zaczęła się gorąco modlić do Stwórcy w niebiesiech.

„Anielciu, masz słuszność", rzekła następnie podnosząc się, „taka modlitwa wzmacnia człowieka, napawa go nadzieją i otuchą i pozostawia błogi spokój w jego sercu".

Następnie położyły się do łóżka i zgasiły światło agzowej lampy.

Obie młode dziewczęta, te piękne, nieszczęśliwe stworzenia, spoczywające w łóżku, przedstawiały cudowny obraz. A myśl, że się spotkały i zaprzyjaźniły ze sobą, była dla nich wielką pociechą.

„Dobra noc, droga Anielciu", rzekła Elżbieta. „śpij, niech Bóg czuwa nad tobą".

„Dobra noc, moja przyjaciółko", odparła Anielcia „życzę ci słodkich snów".

„Słodkie sny?" odpowiedziała Elżbieta; „niegdyś miałam takie marzenia, przedstawiałam sobie wszystko w różo-



Wskutek długotrwałych deszczów szereg miast w Anglji znalazło się pod wodą. Na zdjęciu widzimy zatopione ulice miasta na południu Anglji.

wych barwach i myślałam ciągle o młodym, pięknym chłopcu, którego nie znałam wcale i nie wiedziałam czy istnieje nawet“.

„A obecnie?“ zapytała Anielcia.

Elżbieta milczała i gdyby nie było ciemno w pokoju, to Anielcia zobaczyłaby rumieniec, który zaróżowił twarz młodej, uroczej dziewczyny.

„Milczysz“, zawołała Anielcia, „znalazłaś może swój ideał?“

„Tak, najdroższa przyjaciółko“, szepnęła cicho Elżbieta, „nie wiem jednak niestety czy ten ideał dowie się kiedy o mojem uczuciu“.

„Wolno zapytać, w jakim kraju się znajduje?“

„Wogóle w żadnym“.

Anielcia zdziwiona podniosła się na łóżku.

„Elżbieto, ty żartujesz?“ zapytała.

„Nie, nigdy. mówię ci zupełną prawdę. Tego mężczyznę, którego pokochałam całem sercem, — przecież niema w tem nic złego, jeżeli szesnastoletnia dziewczyna zakocha się, — spotkałam nie na stałym lądzie, lecz na morzu“.

„Ach, teraz rozumię, znajduje się razem z nami na pokładzie tego okrętu?“

„Tak, tutaj, — o mój Boże, Anielciu, co ty sobie pomyślisz o mnie, jeżeli ci powiem jego nazwisko, — znam go właściwie od kilku godzin, jednak nie mogę się opanować, moje serce bije tak gwałtownie, gdy posłyszę jego kroki lub głos. Od pierwszego wejrzenia poznałam w nim marzenie moich snów, tą świetlaną postać, którą widziałam ciągle w mojej wyobraźni“.

„To Marceli Remy“, zawołała Anielcia, „pierwszy porucznik z „Gloire de France“.

„Tak, to on“, odparła Elżbieta, „teraz wiesz wszystko, śmiej się ze mnie, łaj mię, może powiesz, że jestem lekkomyślną dziewczyną, żem tak nieopatrznie rozporządziła mojem sercem, — ja jednak, Bóg mi świadkiem, nie mogę inaczej, muszę go kochać“.

„Dlaczego miałabyś go nie kochać“, zapytała Anielcia, „jest młodym szlachetnym człowiekiem i zasługuje zupełnie na twoją miłość. Teraz jednak śpijmy, najwyższy czas“.

Cisza zaległa kajutę. Zewnątrz dolatywał tylko szum morza i pluskanie fal, które uderzały monotonnie o ściany okrętu.

Nagle przebudziła się Anielcia i zawołała cichym głosem na swoją przyjaciółkę:

„Elżbieto, słyszysz, zdaje mi się, że ktoś pukał na drzwi?“

Nim jednak Elżbieta miała czas dać odpowiedź, powtórzyło się pukanie i równocześnie dał się słyszeć obcy głos:

„Znajduje się w tej kajucie panna Elżbieta Flower?“

„Wszechmocny Boże, co to znaczy“, szepnęła Elżbieta, podnosząc się pospiesznie „kto — tam?“

„Cicho“, zawołała Anielcia, zapalając równocześnie gazową lampę, „kto tam co pan sobie życzy:“

„O, ja jestem tylko stewardem na okręcie, przychodzę z polecenia pana kapitana, który prosi do siebie na chwil



Zdjęcie przedstawia dwie siostry, Elizę i Ernę Kompa — mistrzynie w sporcie pływackim, córki górnika z Essen (Niemcy). W roku 1924 wyemigrowały z rodzicami do Stanów Zjednoczonych, skąd przyjadą na Olimpjadę do Berlina.

kę pannę Flower. Rozchodzi się o listę pasażerską.“

„Dzięki Bogu!“ odparła cicho Elżbieta, „więc nic nadzwyczajnego ani ważnego. Droga przyjaciółko, nie masz pojęcia, jak się strasznie przestraszyłam.“

„Przyjdę natychmiast,“ przemówiła Anielcia, dziwnem wydaje mi się tylko, że pan kapitan woła mię do siebie o tak późnej godzinie.“

„Czekam na panią,“ zawołał steward, stojący za drzwiami; „boję się tylko, że pani nie trafi sama do kajuty kapitana.“

„Proszę poczekać chwilkę, muszę się najpierw ubrać, gdyż leżałam już w łóżku.“

„Co czynisz?“ rzekła Elżbieta, widząc ubierającą się przyjaciółkę, „przecie mnie wołano do kapitana, a nie ciebie!“

Elżbieta, wymawiając te słowa, zbliżyła się do niej.

Anielcia powstrzymała ją jednak szybkim ruchem ręki, pochyliła się i poczęła cicho szeptać:

„Pozwól, ja pójdę za ciebie, — może rozchodzi się rzeczywiście o bagatelkę, o listę pasażerską, a kapitan chce zadać ci tylko kilka obojętnych pytań. To jednak wydaje mi się podejrzane, że cię zawołano o tak późnej godzinie. Kapitan tak dużego okrętu nie naprzykszałby się pewnie bez przyczyny swoim pasażerom.

„Powiedz, zna cię kapitan z widzenia?“

„Nie, zresztą może mię widział, gdym grała w salonie na fortepianie.“

„W każdym razie, siedziałaś wtedy w półcieniu. Nie mógł więc dokładnie zapamiętać twoim rysów, po drugie jesteśmy tego samego wzrostu, tylko włosy mamy odmienne. Dlatego rozmówię się z kapitanem zamiast ciebie.

„Jeżeli nie wrócę za kwadrans, to będzie znakiem, że twoja sprawa źle stoi.“

„Co mam robić w takim razie?“ zapytała Elżbieta, której rysy, pod wpływem ostatnich słów Anielci, przybrały trupią bladość z przerażenia.

„Pozostań w kajucie, powiedz, że cierpisz na morską chorobę, — słyszysz, nie wychodź z kajuty, — pod żadnym warunkiem, a gdy przyjedziemy do Nowego Jorku, to staraj się opuścić jak najprędzej ten okręt. Elżbieto, daj mi twoje słowo, że postąpisz za moją radą!“

„Przyrzekam, chociaż nie pojmuję, dlaczego taka ostrożność!“

„Nie pytaj teraz, niema czasu do stracenia, zaklinam cię jeszcze raz, pozostaw mi wszystko, a Bóg nie opuści nas.“

„Nie mogę jednak przyjąć tej ofiary, jeżeliby ci się miało stać coś złego?“

„Cóżby mię spotkało?“ wtrąciła spokojnie Anielcia, „właśnie namyślam się nad tem, jak bezpodstawną jest nasza obawa.“

„W najgorszym razie powie mi kapitan: pani nie jesteś Elżbietą Flower, lecz lady Ravington. Całe nieszczęście będzie więc na tem polegać, że się dowiedzą może, kim jestem w rzeczywistości.“

„To możliwe“, odparła Anielcia, „gdyby jednak tak było, to opowiem kapitanowi twoją całą historję, którą, jak sądzę, zdołam go pozyskać i zapewnić dla ciebie jego przyjaźń i opiekę. Za drugiego przychodzi zawsze łatwiej mówić, aniżeli za siebie, wierzaj mi, Elżbieto, że mając na względzie twoją sprawę, użyję mojej wymowy.“

„O, ty jesteś tak dobrą i szlachetną!“ zawołała Elżbieta z płaczem, „coby się stało teraz ze mną, gdyby Bóg mi nie dał ciebie za przyjaciółkę! Widzisz, Stwórca wskazuje przecież ludziom własne drogi!“

„I nie opuści cię, dopóki nie pokonasz kłamstwa twojego stryja Ralfa i jego pomocników, — dopóki nie osiągniesz majątku i twojego nazwiska.“

Podczas tej rozmowy, prowadzonej ledwo dosłyszalnym szeptem, Anielcia ukończyła toaletę, wdziała pospiesznie suknię i zarzuciła na głowę ciemnojedwabny szal, ozdobiony drogiemi koronkami.

W ten sposób zakryła swoje włosy i na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać barwy jej loków.

„Jestem gotowa“, rzekła Anielcia, „Elżbieto, bądź zdrowa, powiedz mi tylko jeszcze, masz przy sobie te dokumenta, które dowodzą, że jesteś lady Ravington?“

„Tak, mam metrykę i kilka innych papierów. Dam ci je wszystkie, oto mały wyszywany portfel, który włożyłam pod poduszkę; niech ci to posłuży jako dowód wobec kapitana.“

Młoda dziewczyna wyjęła z pod poduszki mały portfel i włożyła Anielci do kieszeni.

„Jednej rzeczy tylko ci nie dałam“, zawołała Elżbieta, „a tego nie zażądasz prawdopodobnie ode mnie, — to jest list mojego zmarłego ojca, ten list, który mam otworzyć w dniu najbliższych urodzin.“

„Nie, masz słuszność, zatrzymaj go przy sobie. Elżbieto, pocałuj mię, do szybkiego zobaczenia się!“

Elżbieta podniosła się na łóżku, zarzuciła swoje białe jak marmur ramiona na szyję przyjaciółki a usta obydwóch dziewcząt zwarły się czułym pocałunkiem. Żegnały się, jakby to rozłączenie miało trwać na wieki.

Na wieki? — Któż rozłączając się, może powiedzieć naprawno, na jak długo odchodzi od ukochanej istoty, — jeden Bóg wie tylko wszystko.

— — — — — — —

W minutę później Anielcia szła obok stewarda, który ją prowadził przez labirynt okrętowych krużganków.

„Czy kapitan dał rzeczywiście panu polecenie, bym się udała do niego?“ zapytała Anielcia.

„Tak, pani, — przed kwadransem może wyszedł kapitan ze swojej kajuty, byłem właśnie na korytarzu, i rozkazał mi, bym uwiadomił panią, że pragnie z nią pomówić w jednej ważnej sprawie.“

„Czy pan kapitan jest uprzejmym człowiekiem?“

„O tak, kochamy go wszyscy, bo z każdym obchodzi się łagodnie. Boi się może pani przed nim?“

„To nie, — dziwi mię tylko, że kapitan kazał mię zawołać o tak późnej godzinie!“

„Tego nie powinna pani brać mu za złe“, odparł dobrodusznie steward. „Jako marynarz jest przyzwyczajony, by wszyscy ludzie o każdej porze dnia stali na jego usługi! Jesteśmy już przed drzwiami kajuty, proszę, niech pani wej dzie, cała sprawa zostanie załatwioną w kilku minutach. Ja idę teraz na pokład; muszę przynieść panu sternikowi szklankę grogu, bez którego nie może nic robić.“

Marynarz oddalił się pospiesznie. Anielcia stała przed drzwiami kajuty. Podniosła rękę, by zapukać, w następnej jednak chwili opuściła ją znowu. Doznawała dziwnego, trwożliwego przeczucia, nigdy w życiu nie była jeszcze tak niezdecydowaną. Nie mogła się jednak cofnąć, obiecała Elżbiecie zastąpić jej sprawę przed kapitanem, dlatego musiała wywiązać się ze swego zadania. — Zresztą, kapitan nie miał powodu wyrządzić krzywdy Elżbiecie, — a sama przecież dziwiła się, że była tak nierozważną i obawiała się nie wiedząc właściwie czego.

Jeszcze raz przycisnęła ręce na gwałtownie bijące serce, jakby chciała je uspokoić, poczem zapukała cicho.

W kajucie odezwał się głos „proszę“, i Anielcia otworzyła teraz drzwi. W pierwszej chwili nie zobaczyła twarzy kapitana, gdyż mężczyzna, ubrany w marynarski mundur, był zwrócony twarzą ku ścianie i badał z przejęciem wiszącą na niej mapę.

„Proszę bliżej, droga panienko“, przemówił, nie zmieniając swojej pozycji, „proszę, niech pani siada, — służę natychmiast.“

Anielcia postąpiła kilka kroków naprzód i usiadła na krzesełku stojącym obok stołu.

W tej chwili obrócił się nagle kapitan, podskoczył ku drzwiom, zamknął je na klucz, który następnie schował do kieszeni.

Anielcia zauważyła ten ruch i nagle powstały w jej duszy ze zdwojoną siłą na nowo wszystkie złe obawy i złowrogie przeczucia, podniosła się ze stołka i zawołała drżącym głosem:

„Dlaczego zamknąłeś pan te drzwi, — o ile wiem, nie należy do towarzyskich zwyczai rozmawiać z obcą damą przy zamkniętych drzwiach.“

Mężczyzna w kapitańskim uniformie podniósł wolno głowę: Anielcia zobaczyła najpierw długą, siwą brodę, następnie rysy tego, z którym znajdowała się w zamkniętej kajucie i z przerażeniem cofnęła się wstecz, gdyż na widok tej twarzy przejęło ją straszne przeczucie, a oczom jej ukazały się posępne obrazy przeszłości z przerażającą szybkością.

Nie wiedziała jeszcze z kim ma do czynienia, gdyż w półcieniu, który panował w kajucie, nie mogła dokładnie rozpoznać tej twarzy, sądziła tylko, że w tym wypadku zachodzi straszne podobieństwo, które wydało się jej aż nadto nieprzyjemne.

„Pani jesteś Elżbieta Flower?“ zapytał fałszywy kapitan powolnym głosem.

„Tak jest“, odparła Anielcia, „więcej jednak nie powiem nic panu, dopóki nie otworzysz pan tych drzwi.“

„Elżbieto Flower, nie potrzebuje się pani wcale trudzić“, zawołał siwobrody, „gdyż ja wyjawię pani wszystko, co mam do powiedzenia.“

Zbliżył się do Anielci i wyciągnął powoli rękę po czarny pflaster, leżący na stole.

„Nazywasz się pani Elżbietą Flower“, zawołał chrapliwym głosem, „w rzeczywistości jesteś jednak lady Ravington! Ha, cofasz się, ten ruch zdradził panią zupełnie!“

„A gdybym była lady Elżbietą Ravington“, zawołała Anielcia drżącym głosem, „czy w takim razie masz pan jakie prawo do mojej osoby?! Jestem wolną obywatelką Anglji, tutaj zaś, na pokładzie tego okrętu stoję ponadto pod opieką Francji, co pan zapewne musisz wiedzieć jako kapitan „Gloire de France“.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKOWKA

uł. W. M łaczyński — Łysinin

ądź	nych	ży	zwy	sze
dzie	w	zaw	lu	lecz
tel	le	ży	wiel	czaj
chodź	o	gdzie	do	dzi
na	śmier	przy	nej	kim

BILETY WIZYTOWE

uł. „Księżniczka Dari“.

Z. IREK—BOCHWISZ.

ST. RZOWIROKOW

Odczytać nazwiska znanych i cenionych poetów.

Rozwiązanie zadań z numerów 51 „Moich Powieści“: Logogryf „świąteczny“: 1. Robert 2. Leonka 3. Bożena 4. Oleńka 5. Janina 6. Placyd 7. Marian 8. Bronia 9. Tadzio 10. Anzelm 11. Irenka 12. Konrad 13. Miecio BOŻE NARODZENIE. Kwadrat geograficzny: Czeremcha.

Trafne rozwiązanie z numeru 51 „Moich Powieści“ nadesłali: Janina Nowakówna — Swarzędz, Kazimiera Wolska — Piotrków, Andrzej Romanowski — Parczew, Józef Cichocki — Łódź, Eugeniusz Gilicki — Kalisz, Wacław Perski — Częstochowa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kazimierze Wolskiej z Piotrkowa i Eugenjuszowi Gilickiemu z Kalisza.

Rozwiązanie zadań z numeru 52 „Moich Powieści“: Arytmograf: 1 Rosja 2 Zanzibar 3 Estonia 4. Chiny 5 Złote Wybrzeże 7. Portugalia 8 Oceanja 9 Szwecja 10 Paragwaj 11. Oceania 12 Litwa 13 Irlandja 14. Turcja 15. Anglja 16 Peru 17 Oceanja 18 Syberja 19. Szwajcarja 20. Kanada 21. Abisynja. Szarada: Karakuły.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Alojzy Machnik — Bydgoszcz, Dionizy Janicki — Gniezno, Kazimiera Wicherkiewiczówna — Lipno, Ludwik Kiełniński — Bydgoszcz, Zenon Jach — Wierzchosławice, K. Mikołacki — Lipiny, Ludwik Dulat — Zbąszyn, Stanisława Zielińska — Wilczyn, Leokadia Krawczykówna — Małe Pułkowie, Stanisław Żochowski — Kominy, Antoni Wachowski — Toruń, Lucyna Pankówna — Głowno, Zygmunt Kornowski — Targowicka, H. Lipska — Brusy, Helena Szajner — Lublin, „Irek“.

Nagrody otrzymali pp.: Alojzy Machnik z Bydgoszczy i Stanisława Zielińska z Wilczyna.

H-U-M-O-R

Ale wpadł.

Do Londynu przyjechał pewien Amerykanin. Przewodnik oprowadza go po mieście.

— Jak się panu podoba naprzykład ten drapacz chmur? — pyta przewodnik, wskazując wielki gmach.

— Phi... Co to wielkiego...? pyszni się Amerykanin. — U nas w Now Yorku mamy tysiące takich gmachów...

— Doprawdy?... Możliwe... — odpowiada przewodnik. — To jest szpital dla warjatów.

Dobra żona.

— Wiesz, Janek, moja żona jest bardzo dziwna... Jak przychodzę nad ranem do domu w humorze, to nic nie mówi, tylko długo kiwa głową!

— Czyją?

— Moją!...

Szczyt napięcia

— Wczoraj dawali w kinie dramat kryminalny tak interesujący, że z ogromnego napięcia aż płótno trzasło!

Ocena.

— Czy nie wie pan, wiele lat ma ta znana artystka panna Pela?

— To trudno określić. Według wyglądu — trzydzieści pięć. Według bogatej przeszłości, chyba sto. Według temperamentu — dwadzieścia, według inteligencji — piętnaście, a według ortografji — siedem.

Nie ma czasu.

— Taki młody i żebrak! Pracować mu się nie chce? — woła z oburzeniem starsza jejmość na ulicy do podchodzącego żebraka.

— Nie mam czasu dobra paniusiu, żebrzę przeszło dziesięć godzin dziennie — odpowiada spokojnie żebrak.

Filozofja.

Straszny upał. Stoję na przednim peronie tramwaju. Wprawdzie przedemną wisi groźny napis: „Motorowemu nie wolno rozmawiać z pasażerami", ale ryzykuję zamienić z nim kilka słów...

— Jak się pan zapatruje na życie?... — pytam filozoficznie.

Motorowy odparł bez zastanowienia:

— Widzi pan, życie podobne jest do tramwaju...

— Dlaczego?...

— Bo tylko drobna część pasażerów dojeżdża do ostatniego przystanku...

Porady dla pań.

W jednem z pism przeznaczonych dla kobiet, w dziale „porad" znajdujemy następującą odpowiedź.

— Nie powinna pani wyrzucić starej parasolki, tembardziej, że jest kolorowa. Można ją jeszcze przerobić na modny kapelusik, zwlaszcza, że dziś sa modne toczki. Gdy kapelusik się zniszczy, może pani jeszcze z tego materjału zrobić abażur na lampę. Gdy abażur się przepali, starczy pani chyba jeszcze materjału na kokardkę dla dziecka, ewentualnie na suknię balową...

Geograf.

— Powiedz mi, chłopcze, gdzie leży Madera?

— W... piwnicy mojego ojca, panie psorze!

Przezorność narciarska



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.